ROK XVIII KRAKÓW, SOBOTA 6. WRZEŚNIA 1913 ROKU NR. 36

CENA PRENUMERATY Z PRZESYŁKĄ W AUSTRYI:
rocznie 4·— K., półrocznie 2·— K., kwartalnie 1·— K.
ZA GRANICĄ: w Niemczech, w Ameryce, Brazylii i Kanadzie rocznie 6 Kor. Prenumeratę płaci się z góry.
Nieopieczętowane reklamacye w państwie austryackiem wolne są od opłaty pocztowej. — Rękopisów się nie zwraca. — Nie przyjmuje się listów nieopłaconych.
TELEFONU NR. 1018

PRAWDA

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM RELIGIJNYM NARODOWYM, POLITYCZNYM, GOSPODARSKIM I ROZRYWCE. - WYCHODZI CO SOBOTĘ

PRENUMERATĘ oraz wszelkie korespondencye nadsyłać należy pod adr. Redakcya „PRAWDY“ w Krakowie, ul. Stolarska 6
Biuro redakcyi otwarte codzienie, z wyjątkiem świąt i niedziel, od godz. 8—12 przedpoł. i od 2—7 popoł.
OGŁOSZENIA: za 1 wiersz petitowy, jednołamowy lub jego miejsce 20 halerzy. Nadesłane: za wiersz 50 halerzy. Przy kilkorazowem ogłaszaniu, odpowiedni rabat

„JEŚLI PAN NIE ZBUDUJE DOMU, PRÓŻNO PRACOWALI, KTÓRZY GO BUDUJĄ“. — PSALM 126

NIECH BĘDZIE POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Nasze szkolnictwo średnie.

Z powodu artykułu w ostatnim numerze zamieszczonego otrzymaliśmy następujące uwagi, których słuszność w pełni uznajemy:

Z szczerem zadowoleniem przeczytałem w ostatnim numerze Waszego pisma artykuł pod napisem „Do Szkoły“, w którym wzywacie rodziców, aby nie posyłali synów wyłącznie do gimnazyów, gdyż to nie jest z korzyścią ani dla narodu, ani dla rodziców samych. Arcymądre to słowa. Pozwólcie mi jednak wyrazić przekonanie, że należałoby je skierować nie tyle pod adresem rodziców mających dzieci w wieku szkolnym, ale raczej pod adresem tych, w których rękach spoczywają rządy i losy naszego kraju. Powiedzmy to sobie bowiem odrazu bez żadnych ogródek, że nasz system szkolny i oświatowy znajduje się na złej drodze i że nie tylko nie daje społeczeństwu tego, czego ono potrzebuje, ale przeciwnie tamuje rozwój zdrowy i wszechstronny sił w młodszych pokoleniach nagromadzonych. Jeżeli mnie kto zapyta na czem opieram taki sąd surowy, to odpowiem na to tak: Nasz system szkolny znajduje się dlatego na złej drodze, gdyż rozwija się w jednym tylko kierunku, a więc jest jednostronny, a więc zmusza młodsze pokolenia do kształcenia się według jednego wyłącznie szablonu. Tym naszym specyficznie galicyjskim szablonem, narzucającym się całemu społeczeństwu, jest klasyczne gimnazyum. Mamy w kraju naszym, przeważnie rolniczym, w kraju, którego handel i przemysł znajdują się dopiero w zawiązku, kilkadziesiąt klasycznych gimnazyów, w których kształci się kilkanaście tysięcy młodzieży, mamy oprócz tego jeszcze pewną liczbę szkół realnych, tydzież parę nowszego typu tak zw. gimnazyów realnych. Natomiast na cały wielki ośmiomilionowy kraj rolniczy, mamy wszystkiego siedm niższych szkół rolniczych, jedną, powtarzamy jedną szkołę średnią rolniczą, dalej znowu tylko jedną wyższą szkołę przemysłową w Krakowie i jedną niższą szkołę przemysłową we Lwowie; niższych zaś i średnich szkół handlowych nie posiadamy wcale, akademie bowiem handlowe w Krakowie i we Lwowie uchodzić muszą raczej za szkoły wyższe nie zaś za średnie.

Oto smutny stan rzeczy w naszym kraju! Przedstawi on się nam zaś jeszcze smutniej, jeżeli go porównamy ze stanem w innych krajach koronnych monarchii austro-węgierskiej, a szczególniej ze stanem w najbliższych nam krajach czeskich. Śląsk, Czechy i Morawy pokryte są wprost siecią szkół średnich rolniczych, przemysłowych i handlowych. Same Czechy pod względem obszaru i ludności mniejsze od Galicyi mają takich szkół kilkadziesiąt. W Pradze, w Bernie i Libercu istnieją po dwie wyższe szkoły przemysłowe, u nas na ośmiomilionową ludność jest tylko jedna. Natomiast niema nie tylko w całej monarchii, ale nawet może w całej Europie kraju drugiego, któryby posiadał w stosunku do ludności tyle klasycznych gimnazyów co Galicya. Postawmy się teraz w położeniu rodziców, mających dzieci w wieku szkolnym powyżej lat dziesięciu. Chcieliby oni dzieciom swoim jakąś zapewnić przyszłość, po ukończeniu szkoły ludowej chcieliby je do jakiejś średniej oddać szkoły. Aby te dzieci swoje posyłać gdzieś za granicę, albo choćby tylko do Krakowa czy Lwowa, na to ich nie stać, niższych, albo średnich szkół rolniczych, handlowych, czy przemysłowych w okolicy niema wcale, może zresztą znaczna część rodziców o istnieniu takich szkół nawet nie wie, natomiast nie daleko w miasteczku lub w mieście powiatowem

znajduje się klasyczne gimnazyum, a więc cóż z dzieckiem zrobić, trzeba go oczywiście oddać do gimnazyum. Jeżeli zaś rodzice o tem nie pomyślą, to chłopak sam, rwąc się do nauki, wybierze się do najbliższego miasta, aby tam o głodzie nieraz i chłodzie uczęszczać do gimnazyum i kuć grecką i łacińską gramatykę, choćby do tego wcale zdolności nie posiadał. Gdyby tensam chłopiec miał niedaleko szkołę rolniczą, lub przemysłową, toby go może rodzice do niej skierowali, a może i on sam wpadłby na taki pomysł. Jednakże tego rodzaju szkół w całej choćby najszerzej branej okolicy niema ani śladu, nikt o czemś podobnem nawet nie słyszał, nie pozostaje przeto inna droga, tylko gimnazyum. W tych zaś gimnazyach tylko pewna bardzo drobna cząstka odpowiednio uzdolnionych pracuje z powodzeniem i dobija się jakich takich stanowisk, ogromna zaś większość młodzieży przeważnie marnieje.

Dlaczego zaś marnieje? Oto dlatego, że gimnazyum nie odpowiada ani jej usposobieniu, ani jej uzdolnieniu. Chłopak ma n. p. zdolności do rysunków, byłby z niego doskonały stolarz lub budowniczy, ale on się na takiego wykształcić nie może, bo on musi się uczyć gramatyki greckiej, do czego brak mu ochoty. Inny będzie miał zmysł praktyczny doskonale rozwinięty, byłby z niego znakomity handlowiec, inny znowu byłby świetnym przemysłowcem, mechanikiem, albo rolnikiem, on się jednak w tym kierunku nie wykształci, bo niema gdzie, musi więc zajmować się gramatyką, literaturą i tym podobnemi rzeczami pomimo, że go to wszystko nie bardzo pociąga. Wyniknie zaś z tego co? Oto fakt, że będzie się taki chłopiec z biedą tylko przepychał z klasy do klasy, w końcu ugrzęźnie i wyjdzie na jednostkę wykolejoną, skończy jako nędzny pisarz gdzieś w jakimś urzędzie. Tysiące młodych ludzi w podobny marnuje się sposób. A nawet tacy, którzy gimnazyum skończa, maturę zdadzą i pójdą na uniwersytet, to i tacy nawet rzadko dobiją się wybitniejszego stanowiska i oni przeważnie marnieją, kto skończy gimnazyum, pcha się do urzędu, radby dochrapać się pensyi i z niej żyć. Kandydatów więc na urzędy jest bez liku. Rozpiszą władze rządowe, krajowe lub gminne konkurs na jakąś choćby najskromniejszą posadę, to wpływają setki podań, natomiast sił fachowych do pracy na prawdę twórczej brakuje na każdem polu.

Rolnictwo nasze

znajduje się w powijakach zaledwo. Pomimo znakomitej gleby produkcya nasza rolnicza stoi tak nizko, że się poprostu wobec innych krajów wstydzić musimy. Przyczyną tego cóż być może? Nic innego, jeno nizki stopień wykształcenia naszych rolników. Proszę przejechać się na Śląsk lub na Morawy i zobaczyć, jak tam gospodarzy chłop na swojem kawałku ziemi, a jak u nas. Ale też chłop czeski lub morawski kształci swoich synów w szkole rolniczej, gdy tymczasem nasz poseła go do gimnazyum, aby tam uczył się greki. Przy roli zaś zostaje kto, zwykle taki, z którym rodzice nie wiedzą co zrobić, po skończeniu więc szkoły ludowej zatrzymują go w domu i każą mu bez żadnej dalszej nauki pracować na roli, tak jak „tatuś pracowali". Atoli za to nie ma co winić rodziców. Nie oni w tym wypadku zawinili, tu winien kraj, winne jest całe społeczeństwo, a raczej główną winę ponoszą ci, co społeczeństwem kierują i na jego czele stoją. Nie jeden ojciec posłałby syna do szkoły rolniczej, gdyby miał taką szkołę pod ręką, niestety nie ma jej, więc pcha go do gimnazyum, taki zaś skoro zda maturę, wychodzi później na urzędnika, księdza lub nauczyciela, jest więc dla roli stracony, przy roli zaś zostaje hebes, choćby zaś nawet był zdolny, to i tak do niczego nie doprowadzi i na roli w sposób postępowy pracować nie będzie bo się tego nie nauczył.

Handel nasz

znajduje się niemal całkowicie w rękach żydów. Narzekamy na to srodze, gazety wypisują sążniste artykuły, nawołując do wyzwalania się z żydowskiej niewoli. Jakże jednak ma być inaczej, skoro my katolicy i Polacy nie posiadamy wcale lub tylko w liczbie minimalnej, wykształconych handlowców, Żyd od dziecka już w domu rodzinnym kształci się na kupca, nabywa też, przy wrodzonym sprycie, rutyny i odpowiedniego praktycznego wzkształcenia. Wśród ludu naszego jest w tym kierunku dużo uzdolnienia. Dowodów na to dostarczają liczne Kółka rolnicze, w których wieśniacy na doskonałych wyrabiają się kupców. Niejeden więc nasz rolnik mając kilku synów z chęcią wykierowałby sprytniejszego na handlowca, niestety znowu uczynić tego nie może, bo niema szkół handlowych, wysela go więc do gimnazyum. Niech się uczy greki. Tymczasem sklepy po wsiach i miasteczkach otwierają żydzi jeden za drugim. Jestem przekonany głęboko, że gdyby dzieci naszego ludu miały sposobność kształcenia się w znaczniejszej liczbie na handlowców, to procent żydowstwa w kraju zacząłby w szybkim spadać tempie, już po latach 20 nie byłoby w Galicyi 11 procent żydów jak obecnie, ale może tylko 5 lub 6, jak w Poznańskiem. Któż tu więc winien, czy żydzi, że w handlu przodują, czy Polacy, że do handlu dzieci swoich nie skierowują? Ani jedni ani

drudzy winy w tym wypadku nie ponoszą, tu winien jest system szkolny, względnie zaś winni są ci, którzy taki system krajowi narzucili i do jego poprawy nie dążą.

Nasz przemysł.

Kraj nasz obfituje w olbrzymie przyrodzone bogactwa; kamień, drzewo, węgiel, naftę, rozliczne produkty kopalne, to wszystko posiadamy. Wspaniały mógłby się u nas rozwinąć przemysł w najrozmaitszych kierunkach. Jedna część ludności mogłaby się szybko w przemyśle bogacić, inna część znajdywałaby w ojczyźnie suty zarobek, byłoby z czego żyć i jeszcze sporo by zostało na późniejsze lata. Tymczasem przeważna większość naszej urzędniczej inteligencyi klepie biedę i żyje zadłużona po uszy, robotnicy zaś w setkach tysięcy szukają pracy za granicą. Za to nasze skarby przyrodzone wyzyskują obcy przybysze, na nich się ogromnie bogacą. Dlaczegoż to tak się dzieje? Oto dzieje się dla tego, bo nie mamy wykształconych przemysłowców i przedsiębiorców, nie mamy ich zaś dlatego, bo nam brakuje szkół, w którychby oni kształcić się mogli.

Wnioski.

Jak z powyższych moich uwag wynika, to główną przyczyną naszego krajowego ubóstwa jest zły system szkolny w kraju zakorzeniony. Nie składajmyż więc winy na rodziców, na młodzież, że się pcha do gimnazyów, Oni nie są nic winni, młodzi szukają nauki, a przez naukę dążą do chleba i stanowiska. Tego im za złe brać nie można, przeciwnie, to im zaszczyt przynosi. Cała zaś odpowiedzialność za nieprawidłowy stan rzeczy, za nędzę, za zastój ekonomiczny, za brak sił do pracy twórczej we wszystkich możliwych kierunkach, spada na przewódców narodu i społeczeństwa, spada na rząd państwowy i krajowy, na Sejm, na Radę szkolną krajową, spada wreszcie na tych wszystkich ludzi nibyto rozumnych, którzy tego nie widzą, czy widzieć nie chcą, że na złej znajdujemy się drodze, mamy bowiem możliwie najgorszy i zupełnie do naszych potrzeb niezastosowany system szkolny. Dopóki rząd i Sejm nie przeprowadzą zamknięcia przynajmniej połowy istniejących gimnazyów klasycznych, w ich zaś miejsce nie otworzą takiej że samej lub znacznie jeszcze większej liczby średnich szkół rolniczych, przemysłowych i handlowych, dotąd nie będzie u nas lepiej, przeciwnie będzie coraz gorzej. Obsiędą nas Niemcy i Żydzi do reszty, oni się na naszej będą bogacili ziemi, Polak zaś wyjdzie na niemiecko- żydowskiego pachołka, albo wyemigruje do Ameryki. Taka to przyszłość nas czeka, jeżeli nie doprowadzimy do zmiany istniejącego w kraju systemu szkolnictwa.

Należy wobec tego z największą usilnością domagać się takiej zmiany i wywierać w tym kierunku nacisk na Sejm, na rząd i na Radę szkolną krajową. Przypominajmy tym wszystkim czynnikom słowa wielkiego naszego pisarza i myśliciela Stanisława Staszica, który już w roku 1812. tak przemawiał: „Nie uwodźcie się zbyt niechęcią umieszczania waszych synów dla jakowej płacy po kancelaryach, po tych bezdennych przepaściach naszej młodzieży. Niebaczni, zapychacie tylko kraj machinalnymi pismakami i dobrowolnie niszczycie w waszych dzieciach możnie światłych i dla Ojczyzny użytecznych obywateli“.

Stapiński w opałach.

Samozwańczy wódz ludu od czasu ostatnich wyborów do Sejmu w wielkiem żyje rozdrażnieniu i niepokoju. Czuje on wybornie że mu się ziemia z pod nóg usuwa i, że lud polski wkrótce już przestanie być dla niego przedmiotem wyzysku. Rozpaczliwe przeto czyni wysiłki, aby się jeszcze z garstką swoich pachołków jakoś ratować. Najlepszym do tego środkiem wydaje mu się udawanie wielkiego opozycyonistę i radykała, wymyślanie na rząd, na księży, na szlachtę i wogóle na wszystko i wszystkich. Czem na wierzch wypłynął, tem ma nadzieję, że się i teraz uratuje. Zapomina jednak Stapiński, że jest wielka różnica między tymi czasami, w których on swoją niecną robotę agitacyjną rozpoczynał, a między dobą dzisiejszą. Wówczas był lud polski pod względem politycznym mało uświadomiony, odczuwał tylko gorzko swój los i swoje upośledzenie. Teraz jest już inaczej; świadomość polityczna i narodowa porobiła wśród ludu postępy olbrzymie, radykalne więc hasła nie przedstawiają obecnie tego uroku jaki przedstawiały dawniej, już się ludzie tak łatwo na nie łapać nie dadzą. Stapiński próbuje jednak raz jeszcze swoich dawnych sztuczek. Co on sam w „Przyjaciela Ludu“ i w „Kuryerze ilustrowanym“ wypisuje, co wypisywać nakazuje, to przecież wszelkie już przechodzi granice. Napaści na rząd, szyderstwa z duchowieństwa i z innych warstw narodu roją się poprostu na szpaltach owych piśmideł, jakby jakieś plugawe robactwo. Pięknego zaiste upatrzył sobie były namiestnik Bobrzyński przyjaciela i sojusznika!

W ostatnich czasach szczególnie dotkliwy cios zadała Stapińskiemu sprawa towarzystwa „Canadian Pacific“. Okazało się, że ten niby wódz polskiego ludu zaprzedał ten lud angielskiemu towarzystwu i ułożył się z niem na wywóz setek tysięcy polskich chłopów do Kanady i to nie dla zarobku, ale na stałe osadnictwo. Następstwa tego haniebnego kroku już się teraz okazują, sieć agitatorów rozleciała się po kraju jak szarańcza, kraj zaczyna się wyludniać, chłopi wyprzedają za bezcen swoje grunta przeważnie żydom i jadą za morze, aby tam dla polskiej ojczyzny ginąć i przepadać na zawsze. Wprawdzie pachołki Stapińskiego wypisują po swoich gazecach, że lud nasz na emigracyi nie zginie, że ziemia jest dla wszystkich i że nie warto się jej wyrzekać

razem na kupie dusić. Nie trudno jednak przekonać się, że tego rodzaju pisaniny nie mają innego celu, jeno mydlenie oczu i rozpaczliwe ratowanie zhańbionego już w uczciwej opinii całego polskiego narodu Stapińskiego. Boć przecie naród składa się nietylko z tych dzisiaj żyjących jednostek, ale także i z przyszłych pokoleń. Ci, co do Kanady na osiedlenie wyjadą, może nie zapomną tego, że są Polakami, ale co się stanie z pokoleniem, które już tam na miejscu wyrośnie, a zmuszone obcego używać języka, o swoim z konieczności zapomni?

Lepiej zaiste na własnej ukochanej dusić się ziemi, gdzie zresztą jeszcze starczyłoby chleba dla wszystkich, gdyby się na tej ziemi mądrze pracowało, aniżeli się puszczać na zamorskie awantury i przepadać dla Ojczyzny na zawsze. Czyż mamy dla Kanady ojczystej wyrzekać się ziemi? Czyż nie stokroć lepiej, aby nam grały i szumiały nie obce morza, ale rodzinne bory i pola. Jeżeli zaś Stapiński i jego pismaki pragną górnych wrażeń, jeżeli są tacy drapieżni i chciwi władania — jak piszą — na kanadyjskich stepach, to niech się sami za morze wynoszą, a nas niech zostawią w spokoju. Gdyby tak Kanadian Pacific zechciało Stapińskiego i cały jego sztab wywieść za morze, to dopiero oddałoby polskiemu ludowi usługę nielada. Tych Kanadyjczykom chętnie darujemy, dołożymy im jeszcze w dodatku ministra Długosza razem z jego milionami, a nawet pozwolimy im zabrać byłego dyrektora banku Alfreda Zgórskiego na swojego do Kanady bankiera.

Widocznie jednak Stapiński nie zamerza wynosić się do Kanady, on woli lud polski tumanić i wyzyskiwać tu na miejscu, zwąchawy więc pismo nosem i przekonawszy się, że zaczyna być źle z nim, postanowił przejść do najostrzejszej opozycyi. W tym celu zwołał do Krakowa na narady wszystkich posłów parlamentarnych i sejmowych w sobotę 30. sierpnia. Zjechało się ich razem 24, między innymi przybył także minister Długosz. Narady zagaił sam Stapński i w dwugodzinnej mowie wymyślał i psioczył na czem świat stoi .Rząd hr. Stürgkha uczynił odpowiedzialnym za to, że ludowcy przy wyborach do Sejmu ponieśli klęskę, domagał się czteruprzymiotnikowego prawa głosowania do Sejmu i zniesienie kuryj, pomimo, iż dobrze wie, jakie jest w tej mierze stanowisko rządu. Postawił dalej bardzo ostrą rezolucyę przeciw duchowieństwu za rzekome prześladowanie ludowców, wziął wreszcie w sposób wprost bezczelny w obronę emigracyę i wywożenie chłopów polskich na ich zgubę do Kanady. Ostateczny wniosek Stapińskiego był taki, aby ludowcy przeszli do najostrzejszej opozycyi, aby rozbili blok zlepiony przez Bobrzyńskiego, a wreszcie, aby nawet rozbili narodową solidarność i wystąpili z Koła polskiego. Jednakowoż z narad okazało się, że ludowcom zbyt dobrze dzieje się przy rządowym żłobie, aby dla ratowania swojego wodza puszczali się na awantury. W toku też obrad wyszło na jaw jaskrawe przeciwieństwo między ministrem Długoszem, a Stapińskim. Długosz zdaje się, że nie całkiem daremnie wysiaduje miejsce na fotelu ministeryalnym, widocznie zmądrzał, a nauczywszy się cokolwiek polityki, niechce już dłużej chodzić na Stapińskiego uzdzienicy. Otóż wynik narad sobotnich był taki, że wpływ Długosza domagającego się od ludowców polityki umiarkowanej i rozważnej okazał się silniejszym od wpływu Stapińskiego. Ostatecznie Długosz w sobotę odniósł zwycięstwo. Ludowcy zadowolili się groźbą skierowaną nawet nie w stronę rządu centralnego, ale tylko w stronę rządu krajowego i wyrazili swoje niezadowolenie namiestnikowi Korytowskiemu, do hr. Stürgkha zaś postanowili wysłać deputacyę, która ma mu przedstawić skargi ludowców głównie na duchowieństwo. Ciekawi jesteśmy bardzo, jaki też ta deputacya poda prezydentowi ministrów sposób na zmuszenie duchowieństwa, iżby uznało władzę Stapińskiego nad polskim ludem. Najzabawniejszem jest, iż uchwalono na sobotnim zjeździe ludowców rezolucyę w kierunku zorganizowania ochrony prawnej dla ludowców „prześladowanych przez księży". Ma być także opracowany memoryał dla rządu w sprawie tych rzekomych prześladowań. Okropnieśmy ciekawi, jak ten memoryał wypadnie i ile bezczelnych kłamstw ludowcy w nim nawymyślać potrafią. Jeżeli jednak Stapiński przypuszcza, że mu te jego kłamstwa ujdą bezkarnie, to się grubo myli. Obronę własnych przekonań, przestrzeganie jawności i wolności zdania, piętnowanie czynów nieuczciwych, oto, co Stapiński nazywa prześladowaniem. Dopuszczanie się szelmostw i oszustw przy wyborach na rzecz ludowcowych kandydatów, tudzież rozsiewanie oszczerstw na księży, nazywa się u Stapińskiego sprawiedliwością, wolnością, zaś obrona uczciwości i domaganie się w polityce przestrzegania moralności chrześcijańskiej to uchodzi u niego za gwałt i prześladowanie.

Nic ci jednak, panie Stapiński, te twoje sztuczki nie pomogą, dni twoje są już policzone. Twoje własne stronnictwo już się Ciebie właściwie wyparło, oświadczając się przeciw emigracyi osadniczej na stałe do Kanady, a więc przeciw temu ,coś ty sam z chciwości i dla osobistego zarobku zorganizował i czego ciągle jeszcze bronisz. W jak przezabawny sposób Stapiński się teraz wyłgiwa, to dowodzi tego najlepej jego oświadczenie, iż dopuszczając „Canadian Pacific" w granice Galicyi nie działał ani na szkodę wychodźców, ani na szkodę interesów narodowych, lecz dążył tylko do obniżenia kosztów przejazdu za morze przez dopuszczenie konkurencyi Usprawiedliwiania się tego rodzaju zupełnie tak wygląda, jakdyby jakiś lekarz wpuszczał do wody zarazki chole ry, a złapany na gorącym uczynku usprawiedliwiał się ,że on chciał tylko ułatwiać ludziom przeprawienie się na tamten świat i obniżyć koszta tej wędrówki. W dniu 12 września ma się odbyć znowu zebranie posłów ludowcowych, na którem mają oni wysłuchać odpowiedzi na wniesione do rządu skargi. Wkrótce więc przekonamy się, kto ostatecznie zwycięży czy Długosz czy Stapiński.

Ognisko bałkańskie nie wygasło

Na Bałkanie zapanował wreszcie po dziewięciu miesiącach krwawych wojen spokój. Traktat, zawarty w Bukareszcie, położył kres walce między sprzymierzeńcami. Obecnie komisye wojskowe wyznaczają granice pomiędzy dawnymi sojusznikami, rządy poszczególnych państw bałkańskich wymieniają wzajemnie podpisane przez królów i gabinety traktaty, słowem wojna się skończyła i dla ludów bałkańskich nadszedł nowy okres życia.

Myliłby się jednakże ogromnie ten, ktoby sądził, że po zawarciu pokoju w Bukareszcie, pokoju opartego rzekomo na zasadzie równowagi bałkańskiej, nastanie nareszcie na Bałkanie zupełny spokój. Tak nie jest. Dzisiaj już widać, że pokój bukaresztański

nie był bynajmniej podwaliną pokoju na dłuższą metę, ale że przeciwnie, w samym tym traktacie, podpisanym w Bukareszcie, znajdował się, jak to już zaznaczyliśmy, zarzewia nowych burz i niepokojów na Bałkanie.

Wiadomo Czytelnikom, że traktat bukareszteński przyszedł do skutku w chwili najzupełniejszego osłabienia Bułgaryi, w chwili, kiedy to państwo osaczone zostało ze wszystkich stron wrogiemi wojskami bo siły nieprzyjaciół otaczające ją z wszystkich do słownie stron, były czterykroć większe niż armia bułgarska, zdziesiątkowana podczas pierwszej wojny bałkańskiej, mianowicie wojny z Turkami. Na Bułgaryę rzucili się jak sępy dawni jej fałszywi przyjaciele i sojusznicy, a do nich przyłączyła się w sposób zupełnie zbójecki Rumunia. Ograbiono więc Bułgaryę ze wszystkich jej zdobyczy, wydarto jej krwią Bułgarów zdobytą olbrzymią część Macedonii, zamieszkałej przeważnie przez ludność bułgarską, a na dobitek, gdy przyjaciele i sojusznicy przykładali Bułgaryi nóż do gardła, gdy nieszczęśliwe to państwo musiało zgodzić się na pokój, który ją w niesłychany sposób krzywdził, zerwał się nie bez namowy ze strony Serbii i Grecyi, dawny wspólny wróg wszystkich ludów bałkańskich, Turczyn, i odebrał Bułgarom Tracyę i Adryanopol, odebrał m te wszystkie ziemie, na których padło z górą 100,000 bułgarskich żołnierzy, na których tylko i wyłącznie, dzięki Bułgarom została w zupełności złamana potęga turecka w Europie. Tak więc Bułgarya, której zasługą było wypędzenie Turków z Europy, straciła nawet pola swoich najświetniejszych zwycięstw, straciła Czorlu, I üle Burgas, Adryanopol, całą Tracyę wprost przesiąkniętą krwią bułgarskich żołnierzy, a ponadto nie otrzymała prawie nic z tego, co dzięki zwycięstwom oręża bułgarskiego zostało wyzwolone z pod tureckiego jarzma, nie zyskała Macedonii, bo nią podzielili się Serbowie i Grecy.

Do niedawna zdawało się jeszcze, że po ograbieniu Bułgaryi przez dawnych sojuszników mocarstwa przyczynią się bodaj do tego, że ta Tracya, której zagon użyźniony jest krwią bułgarską w zwycięskich walkach z Turkami przelaną, Tracya i Adryanopol, które same mocarstwa przyznały w Londynie Bułgaryi, ostatecznie przy Bułgaryi zostaną. Tymczasem okazało się poraz nie wiadomo który, że wszelkie liczenie na Europę, na mocarstwa, jest stawianiem zamków na lodzie. Mocarstwa europejskie jeszcze nigdy żadnemu narodowi, który popadł w nieszczęście, nie zrobiły nic dobrego. Przeciwnie. Mocarstwa stają zawsze po stronie przemocy, choćby ta przemoc była łajdacką i złodziejską i zawsze usuwają się na bok, choćby nawet ta przemoc niszczyła ich dawne postanowienia, choćby w strzępy targała ułożone przez te mocarstwa traktaty. Więc też szanowna Europa, która spokojnie przyglądała się ograbieniu Bułgaryi przez Serbię, Grecyę i Rumunię, ani nawet palcem nie ruszyła wtedy ,kiedy Turek wdarł się do Adryanopola i zajął Tracyę, przez te mocarstwa przyznaną Bułgaryi i tak drogo, tak strasznie drogo przez Bułgarów okupioną. Powtórzyła się, tylko w innej formie, historya z naszą Ojczyzną. Dokonano na niej gwałtu w historyi świata niesłychanego, a Europa uświęciła ten gwałt swojem uznaniem. I dzisiaj, kiedy naród nasz, liczący przeszło 22 miliony ludzi, mający świetną kulturę, idący na równi z najbardziej cywilizowanymi narodami pod względem umiejętności, nauk, literatury i sztuki, kiedy ten nasz naród narażony jest w zaborze pruskim i rosyjskim na niesłychane prześladowania, Europa i szanowne mocarstwa wcale o nas nie myślą, nie chcą się nawet nami zajmować, ale za to omal do wojny europejskiej nie doprowadziły z powodu Albańczyków, narodu zbójów i złodziei, nie mającego najmniejszej kultury i niezdolnego wprost do życia państwowego. Jest to bardzo charakterystyczny przykład. Jeżeli chodzi o zbójów i złodziei, jeżeli chodzi o barbarzyńców, to Europa najczulej się nimi opiekuje, jeżeli zaś chodzi o naród naprawdę żywy, naprawdę siły żywotne w sobie mający, a nieszczęśliwy, to Europa dopomaga do wydzierania mu poprostu kości.

Każdy rozsądny człowiek, zważywszy okoliczności, wśród których zawarto pokój na Bałkanie musi odrazu przyjść do przekonania, że przecież pokój w takich warunkach poczęty nie może być pokojem stałym. I nie ma najmniejszej wątpliwości, że na Bałkanie pomimo zawarcia pokoju wcale pokoju nie będzie.

Przedewszystkiem niepokoje na Bałkanie wybuchały zawsze w Macedonii. To był kocioł, w którym zawsze wrzało, to było ognisko rewolucyi, powstań, buntów, o których co roku głośno było w całej Europie. Prześladowana przez Turków ludność bułgarska organizowała tam ciągle ruchawki, które stale były straszakiem dla Europy. Bułgarzy, zaczynając wojnę z Turcyą, dążyli przedewszystkiem i jedynie do wyswobodzenia Macedoniii, do wyswobodzenia swoich braci. I wyswobodzili ich. Ale macedońscy Bułgarzy wpadli z deszczu pod rynnę. Uwolniono ich od jarzma tureckiego, a rozdarto pomiędzy Serbów i Greków, których jarzmo jest bodaj czy nie gorsze od jarzma tureckiego. I Serbowie i Grecy już zaczęli w sposób barbarzyński wynaradawiać. Wypędzają nauczycieli ludowych ze szkół bułgarskich, które nawet pod panowaniem tureckiem cieszyły się swobodą, zmuszają księży bułgarskich do przechodzenia na wiarę grecką i prawosławną, słowem, rządzą gorzej, niż Turcy.

Skutki tych rządów już znać. Bułgarzy macedońscy zaczynają już występować wrogo przeciw nowym tyranom, a możemy być pewni, że w roku przyszłym na wiosnę wybuchną znowu wrzenia i niepokoje w Macedonii, zaczną znowu swoją działalność bandy bułgarskie i będzie znowu to samo, co było przed wojnami bałkańskiemi z tą tylko różnicą, że ruchy rewolucyjne zwracać się będą już nie przeciw Turkom, ale przeciw Serbom i Grekom. Bułgarzy zaś w Bułgaryi samej, zupełnie nie kryją się z tem, że za lat kilka podejmą nową wojnę, tym razem przeciw fałszywym swoim przyjaciołom, a kto wie, czy nie z pomocą Turcyi, która teraz jedna jedyna zwraca się do Bułgarów z przyjaźnią. Przy obecnych układach o oddanie Adryanopola Turkom, zawarty zostanie prawdopodobnie ścisły sojusz między Turcyą a Bułgaryą, a że ten sojusz zemści się kiedyś na Serbach i na Grekach, to jest rzeczą pewną. Nie trzeba bowiem zapominać, że Turcy teraz zabrali się do odmłodzenia swojej armii, a gdy ją udoskonalą, to mapa Bałkanu za lat kilka znowu się zmieni.

Już z tego widać, że pokój zawarty w Bukareszcie jest wart funta kłaków. Za lat kilka przyjdzie na Bałkanie do nowej wojny, która będzie jeszcze może straszniejszą niż ta, która się niedawno skończyła, bo będzie prowadzona pod hasłem zemsty za olbrzymie krzywdy, jakie Bułgaryi teraz wyrządzono.

Drugie źródło niepokojów na Bałkanie stanowić będzie Albania, ten nieszczęśliwy płód austryackiej dyplomacyi, który przyszedł na świat przy pomocy wszystkich mocarstw. Granice Albanii wyznaczone przez mocastwa, są nieszczęśliwe. Znaczną część północnej Albanii przyznano Czarnogórze, znaczną część południowej przyznano Grecyi. Dzikie, pierwotne plemiona, zamieszkujące te ziemie, kpiąc sobie z granic, wyznaczonych przez mocarstwa, obsadziły je i oświadczają, że ani Greków ani Czarnogórców nie wpuszczą do siebie. Przyszło już, jak donoszą telegramy, do kilkunastu większych bitew pomiędzy Albańczykami a wojskami greckiemi i czarnogórskiemi. Te bitwy toczyć się będą dalej tak, że zanim Grecya i Czarnogóra utwierdzi swoje panowanie nad przyznanymi jej plemionami albańskiemi, upłyną tam jeszcze rzeki krwi i kto wie ,czy nie trzeba będzie prowadzić z Albańczykami nowej, ciężkiej wojny.

Jest to najlepszy dowód niedołęstwa mocarstw, które mogły były naprawdę teraz stosunki na Bałkanie urelugować, ale tego nie zrobiły. Nie osiągnęły więc celu, do jakiego dążyły. Głównem staraniem mocarstw było utrzymanie europejskiego pokoju. Pokojowi temu zagrażał od lat Bałkan. Okazuje się teraz, że na Bałkanie dalej będzie trwało wrzenie, które znowu będzie zawsze groziło nieszczęściem pokojowi europejskiemu. Przewaliła się wielka burza, ale chmury ciężkie jeszcze nie ustąpiły.

Co słychać w świecie?

Z AUSTRYI I WĘGIER.

Ambasadorem austryackim w Petersburgu

ma być mianowany Węgier, hr. Szapary. Jest to rzecz tem znamienna, że okazuje się coraz wyraźniej, iż hr. Berchtolda w zupełności opanowali Węgrzy, którzy prawie wyłącznie zagarnęli teraz dla siebie służbę dyplomatyczną. Na najważniejsze posterunki dyplomatyczne idą Węgrzy, ministerstwo spraw zagranicznych we Wiedniu roi się wprost od Węgrów, co z pewnością drugiej połowie monarchii to znaczy Austryi, nie wychodzi na korzyść. Hrabia Berchtold postępuje tak, jak by już wśród ludów austryackich nie było ludzi, zdolnych do służby dyplomatycznej, do której jednakże niekoniecznie potrzeba zdolności i wielkiego rozumu, co najlepiej widać właśnie na samym hr. Berchtołdzie.

Stanowisko ambasadora w Petersburgu jest bardzo ciężkie, już nietylko dlatego, że jest ogromnie odpowiedzialne, ale także i dlatego, że wymaga takiego rozrzutnego trybu życia, iż na nie może sobie pozwolić tylko człowiek ogromnie bogaty. Hr .Aehrental i hr. Thurn prawie się zupełnie w Petersburgu zrujnowali.Teraz się będzie rujnował hr. Szapary. Ale ten ma przynajmniej, jak słychać, taki majątek, że sobie może na to pozwolić.

Z NIEMIEC.

Uroczystości pruskie w Poznaniu.

W ubiegły wtorek, środę i czwartek bawił w Poznaniu cesarz Wilhelm z żoną, z następcą tronu i świtą, w której znajdował się także kanclerz Bethmann-Hollweg. Ludność polska w Poznaniu nie przyjęła go zupełnie, zachowała się wobec tych pruskich uroczystości zupełnie obojętnie, pomimo, że ją Niemcy usiłowali zmusić do radowania się i hucznego przyjmowania pruskiego króla, który parę miesięcy temu kazał czterech polskich obywateli wywłaszczyć i wpędził ich z domów ich ojców, na co się jeszcze żaden panujący jakiej takiej kultury, nie zdobył Mieszkańcy Poznania nie ubrali swoich domów, nie wzięli udziału w oświetleniu miasta, zaznaczając tem dobitnie, że nie mogą mieć uczuć wdzięczności dla króla, który ich prześladuje w sposób w historyi niesłychany.

Znaleźli się jednak ludzie, należący do najwyższej arystokracyi polskiej, ludzie, którzy tak dalece spodleli, iż mimo to, że wiedzieli, iż cała ludność polska jest wszelkiemu współdziałaniu w uroczystościach pruskich na cześć cesarza Wilhelma przeciwną, poszli lizać but króla-wywłaszczyciela. Trzydziestu ośmiu arystokratów polskich wbrew powszechnej woli całego narodu poszło do cesarza Wilhelma na zamek i zasiadło z nim do jednego stołu, ażeby usłyszeć od niego, iż Polacy mają kochać Prusaków i mają się radować z błogosławieństw niemieckiej kultury. Ładnie ta kultura wygląda, jeżeli jej wyrazem jest ustawa o wywłaszczeniu, jest zakaz mówienia po polsku pacierza itd. Cesarz Wilhelm nie wspomniał ani słowem o tem, żeby rząd pruski miał zamiar zmienić swoją politykę wobec Polaków. A tych trzydziestu ośmiu arystokratów polskich siedziało i słuchało tych słów Wilhelma z całem przeświadczeniem, że za miesiąc, za dwa, tensam cesarz Wilhelm ,który siedzi z nimi przy jednym stole może podpisać akt, wywłaszczający ich z ich dóbr, że oni za to spodlenie się, za to lizanie stopy wywłaszczyciela zostaną w nagrodę wyrzuceni ze swoich rodzinnych domów.

Całe społeczeństwo polskie ten postępek arystokracyi oburzył niesłychanie. Kiedy ci lizunie wyjeżdżali z hotelu na zamek, publiczność polska w Poznaniu obrzuciła ich zgniłemi jajami i oblała śmierdzącymi płynami, a jednego z nich, hr. Mielżyńskiego, nawet dotkliwie pobiła. Co więcej, reszta arystokracyi polskiej ogłosiła publicznie, że bynajmniej nie uznają kroku tych 38 panków i że ich zjawienie się na zamku Wilhelma potępia.

Jest to objaw zupełnie zrozumiały, Społeczeństwo polskie w Poznańskiem tyle już wycierpiało i tyle cierpi pod knutem pruskim, że nie może odnosić się do króla pruskiego inaczej jak do tyrana i ciemięzyciela. Jeżeli się więc znalazły jednostki, które miały czelność pójść i łasić się u stóp tego ciemiężyciela, to te jednostki zszargały honor i godność narodową, czyli największy skarb, jaki nam jeszcze pozostał. Temsamem jednostki te wydały na siebie wyrok: wyrzuciły się same poza nawias społeczeństwa, które się ich wyrzekło i które z nimi nie chce mieć nic wspólnego. Społeczeństwo polskie bowiem wie doskonale, że jeżeli je ktoś bez ustanku kopie, jeżeli ktoś ustawicznie smaga je knutem, to ludzie, którzy rękę ciemiężyciela całują pokornie, są wyrzutkami, pozbawionymi najprostszych zasad własnej godności.

Z HOLANDYI.

Świątynią bez bóstwa,

takby można najlepiej nazwać wspaniały pałac, który w ubiegłym tygodniu poświęcono w Hadze, mianowicie pałac pokoju. Zbudowano go dzięki ofiarności wielkiego miliardera amerykańskiego Carnegiego, kosztem około 8 milionów koron i poświęcono

idei pokoju. Carnegiemu przyświecała myśl wzniosła i szczytna kiedy dawał pieniądze na ten gmach. Pragnie on bowiem usunąć możliwość wojen pomiędzy narodami i ma nadzieję, że niezadługo nastanie czas, w którym wojny będą wogóle niemożliwe, gdyż wszelkie nieporozumienia pomiędzy narodami a państwami załatwiane będą przez sądy polubowne, tak zwane sądy rozjemcze, złożonę z bestronnych ludzi nauki .Otóż ten pałac pokoju ma być siedzibą takich sądów rozjemczych w przyszłości.

Nazwaliśmy ten pałac świątynią bez bóstwa. Bo też został on poświęcony pokojowi, a tu w Europie możliwość wojny trwa dalej. Wszystkie państwa zbroją się na wyścigi, a dopóki te zbrojenia nie ustaną, dopóki nie nastąpi rozbrojenie powszechne, dopóty o pokoju nie ma mowy. Więc też w tym pałacu niema bóstwa, któremu on jest poświęcony. Zaś na rozbrojenie powszechne wcale się dzisiaj nie zanosi. Gdyby w Europie nie było Niemców, którzy są rozsadnikami niepokojów, to być może, moglibyśmy mówić, że wojny w Europie nie będzie. Jednakże łajdackie ustawiczne zbrojenia Niemiec muszą kiedyś doprowadzić do wojny. Dopiero po pogromię Niemców pałac pokoju w Hadze będzie miał rzeczywiście znaczenie.

Z CHIN.

Rewolucya w Chinach .

skierowana przeciw prezydentowi Juanszikajowi, który z prezydenta stał się poprostu dyktatorem chińskiej republiki, została przez niego zgnieciona. Wojska powstańców poniosły szereg ciężkich klęsk, jedno po drugiem zbuntowane miasto poddawało się Juanszikajowi, aż wreszcie siły powstańców osłabły i walka się już prawie skończyła. Przywódcy rewolucyi musieli uciec do Japonii, gdyż w Chinach groziła im karą śmierci z wyroku Juanszikaja. Obecnie rewolucyoniści dążą do zgładzenia Juanszikaja. Przed kilku dniami wsypali mu do jadła truciznę, aby go otruć. Lekarze zołali go jednak uratować.

Z AMERYKI.

Wrzenie rewolucyjne w Meksyku

ostatecznie się skończyło. Przed dwoma tygodniami z powodu tego wrzenia omal nie przyszło do wojny między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi. Na razie wojny uniknięto. Czy jednak do niej jeszcze nie przyjdzie, i to w bardzo krótkim czasie, niewiadomo. To jest pewnem, że Stany Zjednoczone chcą zagarnąć Meksyk i w tym celu same wywołują tam wieczne niepokoje, które dadzą im sposobność do wkroczenia do Meksyku. Stany dopną swego wcześniej czy później, to jest pewne.

LISTY.

Siercza, pow. Wieliczka.

Założenie straży pożarnej.

Ruch oświatowy w naszej wiosce nie ustaje ale ciągle postępuje naprzód, dzięki ruchliwości i poświęceniu inteligentiejszych członków gminy. Po założeniu czytelni T. S. L., Kasy Raiffeisena i teatru włościańskiego przystąpiliśmy do założenia bardzo potrzebnej instytucyi w każdej wsi t. j. straży pożarnej. Za staraniem i inicyatywą p. prof. L. Młynka, p. Jana Kaczora i Fr. Leperza, zwołano do sali teatralnej liczne zebranie dnia 3. i 10 sierpnia br. na którem postanowiono zorganizować we wsi ochotniczą traż pożarną, opartą na statucie krajowego związku ochotniczej straży pożarnej we Lwowie. Wszystko zostało do organizacyi przygotowane i tymi dniami mają odejść potrzebne akta do Lwowa do zatwierdzenia.

Przy zakupnie narzędzi i przyborów strażackich liczy towarzystwo na pomoc pieniężną samej gminy, Rady powiatowej wielickiej, Towarzystw asekuracyjnych ogniowych, jak również na pomoc braci Sierczanów, zajmujących wyższe stanowiska w kraju. Sądzimy również, że i właściciel obszaru dworskiego w Sierczy swojej pomocy nam nie odmówi i z małym fundusikiem pospieszy, by przyłożyć rękę do założenia tak ważnej i dla niego instytucyi. Sądzimy również. że straż pożarna w Wieliczce swojej pomocy nam nie odmówi i wyuczy naszych strażaków. Dzięki poświęceniu i ruchliwości pewnych jednostek w naszej wsi odbędzie się dnia 31 b. m. o godz. 3 popoł. w sali teatralnej wielki wiec ekonomiczny, na który zaproszono wszystkich trzech posłów powiatu wielickiego. O liczny udział w wiecu uprasza komitet. J. K.

Z wycieczki na Morawy.

Zarząd powiatowy Kółek rolniczych wysłał w czerwcu br. swoim kosztem 15 gospodarzy z powiatu na Morawy dla zwiedzenia tamtejszych gospodarstw włościańskich. Jeden z uczestników tej wycieczki p. Jan Lenar z Handzlówki tak opisuje w „Gazecie Ludowej" swoje wrażenia i spostrzeżenia.

Wyjeżdżając z Łańcuta, patrzymy na okolice z okien pociągu. I cóż widzimy? Oto po jednej i drugiej stronie pociągu prawie wszędzie aż do granic Szląska widzisz wąziutkie zagony, bruzdy, nieużytki, dzikie pastwiska gminne, a na nich pełno nędznego bydła i koni.

Gdyśmy zaś przyjechali na Morawy, obraz zupełnie inny. Uprawy zbożowej nie wiele widać, zato przeważa uprawa roślin pastewnych: buraków, koniczu.

Wioski tamtejsze piękne, wyglądają lepiej, niż nasze miasteczka, stawiane są planowo, rzędem, kryte łupkiem, a wszystko murowane. Wszystkie nieużytki polne i drogi drzewami obsadzone. Za każdym

domem znajduje się ogród, każde drzewo po obcięciu suchej gałęzi starannie zaopatrzone, tak jak u nas ludzie po szpitalach. Z wielkiem zdziwieniem patrzyliśmy, jak chłopcy morawscy bronkowali buraki jedną krową przy obsłudze tylko jednego człowieka, gdzie u nas przy koniu używają dwóch ludzi.

Zwiedziliśmy miasta Przerów, Ołomuniec, oraz wioskę Przyhazy, dwie mile za Ołomuńcem koło Prościejowa. Stawiano w tym czasie w Przyhazach szkołę wiejską, budynek trzypiętrowy tak, aby wystrzelał ponad wszystkie inne budynki wiejskie, chcąc dać poznać przez to, że oświata jest u nich na pierwszem miejscu. Drogi w tej wiosce są tak piękne, jak u nas tęcza na chmurach, wysypane siwym kamieniem, a nad szkarpami piękna zieleń. Szkarpy niezajeżdżone, niezabrudzone, lecz obsadzone szczepami ,a na środku drogi co kilkadziesiąt metrów położono duże kamienie na to przeznaczone, aby nie jeździć w jednem miejscu, tylko krajem, w nocy zdejmują je, aby znów środkiem jeździli i drzew nie uszkodzili.

Żadnych nieużytków tam niema, grunta są skomasowane, zamiast miedzy jest czysta bruzda bez chwastów, kiedy u nas chwasty panoszą się nawet na gościńcach rządowych, choć tego nie wolno.

Morawianie szanują ptactwo. Gdy gospodarz zobaczy w ogrodzie gniazdko ptaka na miejscu widocznem, to je zaraz zabezpiecza cierniem przed kotem. Nie wiem, jak jest gdzie indziej, ale u nas w Handzlówce chłopcy narobili dużo skrzynek dla ptactwa i wszystki one są w lecie przez ptactwo zajęte.

Oglądaliśmy także i ule. Są one umieszczone rzędem. Każdy ul od tylnej strony zaszklony, co jest dobre, bo można widzieć, co się w ulu dzieje; na wierzchu jest regulator, który wskazuje, ile jest miodu i ile ciepła, przez co można doskonale drugiemu objaśnić i nie potrzeba siatki, gdyż wyloty są z przeciwnej strony.

Darujcie panowie pszczelarze z Galicyi, dużo jest wśród was guślarzy, u których ule ogrodzone są aż podwójnym płotem, aby ktoś nie dojrzał, co się tam dzieje.

Między budynkami urządzona jest pracownia do naprawiania wszelkich narzędzi gospodarskich; są tam ku temu odpowiednie narzędzia stolarskie, kowalskie itp. U każdego gospodarza widzieliśmy chociaż po dwie kozy, trzymane dla mleka. W naszej wiosce zaprowadziliśmy koziarnie z kóz szwajcarskich, ale okazały się one u nas nieodpowiednie, może klimat im nie posłużył.

Koni trzymają bardzo mało. Dopiero gospodarz na 15 morgach trzyma konia do wyjazdu, do wszelakiej obróbki służą krowy, które ważą do 600 kg. i są bardzo duże. Mleka nie widzieliśmy od nich dużo naraz, jednak więcej od naszych, a to z tego powodu, iż mają jednostajną paszę; nie widzieliśmy gospodarstwa bez kiszonki dla bydła. Maszyn używają innych, nie takich, jak my używamy do sieczki. Świń hodują dużo i to po kilkanaście różnego gatunku. Z tego osiągają największe dochody. Psy to tam nie próżnują, jak u nas; wożą nimi mleko do mleczarń.

W każdem gospodarstwie są dwie kuchnie: jedna dla ludzi, druga dla inwentarza. Wskutek tego łatwiej jest utrzymać porządek.

Na spiżarkach napisy: „Oszczędność i praca ludzi wzbogaca", „Gdy masz ładną kuchenkę — to ci dam buzienkę".

Służby bardzo mało trzymają. Na 30 morgach jeden parobek. Bo i nie trzeba więcej. Karma jest na miejscu w dole i w stodole, wody nosić nie trzeba, bo są wodociągi, poruszane zapomocą elektryki.

W stajniach czystość nadzwyczajna. Żłoby cementowane z dnem szklanem, obok w skipcu przy każdem bydlęciu woda nakryta pokrywą, zawsze świeża. Kiedy bydlę chce pić, to nosem podniesie pokrywę i pije do woli.

Także w ogrodach mają zaprowadzone wodociągi. Podczas posuchy założy pompę i skrapia ogród, ile chce. Fabrykę elektryki czyli elektrownię ma na własność wspólną 7 gmin — przezco mają światło i wodę poruszają siłą elektryczną różne maszyny. Młockarnie, browary, słodownie, młyny, wszystko jest spółkowe i z tego mają wielkie korzyści.

Warta też wspomnieć o kasynie wiejskiem czyli o gospodzie. Jaki ład, porządek, obsługa, to trudno opisać, w najlepszej restauracyi naszej tego nie spotkasz. Właśnie w tym czasie odbywały się w Domu ludowym wybory gminne, a chociaż lokal wyborczy był tuż przy kasynie, ludzie szli do wyborów trzeźwi, spokojni, bez gorączki. Widać było zrozumienie i powagę. Całkiem inaczej niż u nas, bez wódki i kiełbasy wyborczej.

Zdawałoby się niejednemu, że u nas ziemia gorsza od morawskiej. Tak nie jest. Ziemia tam, jak i u nas, tylko tamtejsi ludzie posiadają wielkie zrozumienie rzeczy, znają dobrze swój zawód rolniczy, a przy pomocy oświaty i nauki starają się z tej ziemi wyciągnąć jak największe korzyści.

I oni sobie pomagają przez używanie nawozów sztucznych i to nieraz w dużej ilości. Spróbowałem na swojem polu pod konicz dać tomasyny i kainitu, i dzięki temu miałem kawałek koniczu taki sam, jak na Morawach.

A zatem nie dzieje się nic na Morawach przez jakieś cuda, jeno dzięki rozumowi włościan tamtejszych i ich pracy, gospodarstwa dają im dobre dochody, a wzbudzają podziw u takich ludzi, gdzie oświata rolnicza tak nisko stoi, jak u nas.

Tych kilka słów skreśliłem na to, aby braci włościan zachęcić do naśladowania rolników morawskich w czerpaniu oświaty, w ciągłem kształceniu się praktycznem i przez książki i gazety, a z pewnością dojdziemy kiedyś do lepszej przyszłości.

Rolnicze Spółki Rybackie.

Ogólnie dziś wiadomo, że tak w spółkach rolniczych handlowych, jak i spółkach rolniczych wytwórczych wszelka praca oparta na współdzielczości wydaje coraz obfitsze owoce, zwłaszcza spółki wytwórcze, których pierwszorzędnego wprost znaczenia dla naszego gospodarstwa dotąd dość często nie doceniamy. One to uczą nas nie tylko racyonalnej gospodarki, ale czynności i zapobiegliwości w życiu codziennem, w walce o chleb powszedni, o to lepsze jutro, w które zapatrzeni, idziemy z nadzieją...

Ciągły postęp w pracy gospodarczej — to tworzenie trwałych podstaw życiowych — nie tylko rodzin ale gmin całych i kraju.

Warunki nasze gospodarcze zmieniły się dziś nie do poznania, skazując nas na szukanie nowych dróg zarobku wśród nowych drogowskazów, jakimi szczyci się u nas oświata rolnicza przy coraz wspanialszym pochodzie cywilizacyi.

Jeżeli do każdej organizacyi społecznej przywiązujemy ogromną wagę to niemniej odnosimy się z nią do organizacyi wytwórczych, choćby pozornie lichszego znaczenia, a jednak często wielkiej wartości ekonomiczno-społecznej.

Niewyzyskane jeszcze pole pracy i zarobku da się spotkać niemal w każdem gospodarstwie, choćby najlepiej skonstruowanem. Nie znaczy to wcale, że gospodarstwo takie jest złe, ale że ciągły postęp twórczy, stanowiący życie, wzmógł się, że warunki stały się inne, i że nowa epoka twórczej gospodarki wymaga nowych organizacyi i tak nieraz w systemie hodowli, jak i w uprawie roli, tak w sposobie wyzyskania nieużytków polnych, jak i w zastosowaniu prób i doświadczeń gospodarczych, tworząc coraz potężniejsze podstawy bytu. Cały ruch dzisiejszy w naszych organizacyach rolniczych, to wzmożenie się właśnie tych sił twórczych, żłobiących drogi uświadomienia, powstanie kooperatywy i stałe ulepszanie jej wszędzie, oraz usiłowanie zajęcia w jej ramy wszelkiej produkcyi naszej, zarówno tam, gdzie są już warunki po temu, jak i tam, gdzie całkiem ich jeszcze niema. Żywotny ten i wzniosły program naszej pracy, często tak prosty, przyszedł mi na myśl przy zwiedzaniu niektórych gospodarstw włościańskich w Galicyi, tam zwłaszcza, gdzie zastosowana już z dobrym skutkiem pracę współdzielczą, czy to na polu produkcyi zbytu bydła i trzody chlewnej, czy też tam, gdzie ruch współdzielczy ogarnia inne dziedziny gospodarki rolnej, jak handel jajami, zbożem lub wogóle wyrobem nabiału, albo też wyrobem pieczywa, obliczonem, czy to na eksport, czy też na zbyt lokalny.

Myśli te tłoczyły mi się w głowie wówczas zwłaszcza, gdy zobaczyłem, jak bezużytecznie stoją moczary na łąkach, jak niewyzyskane sadzawki przed chatą lub w polu służą co najwyżej za kąpiel dla kaczek i gęsi, jak następnie strumyki i źródełka żłobią sobie rowy po łąkach i polach, tworząc często formalne jary, gdzie jeżeli dotąd nikt nie złamał nogi, to tylko niech zawdzięcza to szczególniejszej opiece Boskiej, jak dalej rozmaltego rodzaju stawiska na gminnych pastwiskach dają przytułek wszelakiemu robactwu, mniej lub więcej szkodliwemu, tak dla nas samych jak i dla gospodarstwa, jak na przykład szczurom, żabom, przeróżnym larwom owadów, dającym się dotkliwie we znaki bydłu na pastwisku.

Wszak wszystkie te mokre nieużytki można doskonale wyzyskać przez zarybienie ich karpiem.

Nie piszę tu o racyonalnej hodowli ryb lub o gospodarstwie rybnem na większą skalę, czy to karpia, czy szczupaka, czy też lina albo pstrąga lub innych gatunków, o gospodarstwie, które zależne jest od środków, budowy stawów, pielęgnacyi i t. d. Chodzi mi tu tylko o wyzyskanie nieużytku, o zarybienie tymczasowe wspólnemi siłami gminy miejscowej i sąsiednich, zapomocą zwykłej rolniczej spółki rybackiej, opartej o ustawę z r. 1873.

Jak założyć „Rolniczą spółkę rybacką"?

Chcąc założyć „Rolniczą spółkę rybacką" wystarczy, gdy zgłosi się do niej co najmniej 20 członków, którzy, będąc właścicielami mokrych nieużytków, sadzawek, moczarów i t. d., pragną je zarybić, lub też na zarybienie odpowiednią sadzawkę wykopać. Z pośród zgłoszonych do Spółki członków jeden zawiadamia o tem Krajowe Towarzystwo rybackie w Krakowie (ul. Andrzeja hr. Potockiego l. 1) i to wysyła do tej wsi, w której spółka ma się zawiązać, swojego referenta, który poucza o gospodarstwie rybnem u włościan i po odpowiednich wyjaśnieniach zawiązuje formalnie spółkę, która ukonstytuowywa się w ten sposób, że po przyjęciu przez zebranych statutu spółki wybiera radę nadzorczą, złożoną z dziewięciu członków, którzy znowuż z pośród siebie wybierają prezesa i jego zastępcę, a następnie mianują pierwszą dyrekcyę spółki, w skład której wchodzi 3 członków i ci są faktycznymi wykonawcami spółki — oni też wszystkie potrzeby i cele spółki załatwiają Każdy z członków płaci do spółki jedną koronę tytułem wpisowego i 5 koron jako udział.

Celem spółki jest wyzyskiwanie nieużytków wodnych przez odpowiednie zarybienie ich karpiem, wspólna sprzedaż ryb i ewentualne zakupno karmy dla nich.

Czynności gospodarcze w Rolniczej spółce rybackiej.

Spółka taka, zostając pod Patronatem Krajowego Towarzystwa rybackiego, dla zachęty pierwsze zarybienie dla stawków włościaskich otrzymuje stamtąd bezpłatnie, naturalnie pod warunkiem, że podda się fachowemu kierownictwu Towarzystwa.

Pierwszą tedy czynnością gospodarską spółki, to obejście wszystkich zgłoszonych sadzawek, wymierzenie ich, zarządzenie poprawek, aby każda z nich nie była głębsza na brzegu nad 20 cm. a na środku jak co najwyżej od 50 do 70 cm. gdyż tylko wtedy woda należycie się ogrzewa, skupiając dużo pokarmu dla ryb, tak w faunie wodnej, jak w spławach z pól i łąk i t. p. i poustawiania tak zwanych spustów czyli „mnichów", które każdy gospodarz doskonale sam sobie może zrobić. To samo dotyczy przy kopaniu nowych stawków na moczarach czy źródliskach łącznych, pastwiskowych czy polnych. Następnie odbywa się zarybienie karpiem lustrzeniem, gdyż ten tylko najlepiej w takich sadzawkach się udaje; jest niewybredny co do warunków życia, pokarmu znajdzie tak wiele, a przytem chętnie ży-

wi się odpadkami z kuchni, jak ziemniakami, okruszynami wszelkiemi, kaszą i t. p.

Tak, jak zależy nam przy chowie trzody chlewnej na opas głównie na tem, aby trzoda ta przedewszystkiem rosła nam jak najszybciej, tucząc się przytem jak najlepiej, tak samo przy obsadzie sadzawek karpiem musi nam głównie zależeć na szybkim wzroście i opasie, gdyż wtedy tylko dobrze na tem wyjdziemy. W tym celu zarybiamy stawki, należące do spółki, karpiem lustrzeniem, który zupełnie wymagania nasze zaspakaja.

Hodują wprawdzie w stawkach i w większych gospodarstwach rybnych inne jeszcze karpie domowe, jak tak zwane „karpie szlacheckie", „karpie gołe", „karpie bawarskie", „karpie skórne" i inne, ale z pośród tych gatunków okazał się najkorzystniejszym w naszych sadzawkach włościańskich „karp lustrzeń". Nie opłaca się natomiast całkiem w hodowli domowej karp rzeczny, inaczej zwany „dzikiem".

Zarybienie w spółce odbywa się tymczasowo, które polega na tem, że wpuszcza się do stawu kroczki karpia w wadze po funcie na sztukę lub po pół funta, już wczesną wiosną, a wyprawia się je w jesieni — i po odważeniu następuje wspólna sprzedaż. Co do ilości sztuk, którą mamy zarybić nasze stawki, to zależna jest ona albo od obszaru, jaki zajmuje stawek albo i od tego, czy zapuszczone ryby mamy zamiar dokarmiać jeszcze, czy też chcemy, aby za pokarm dla ryb wystarczyło to pożywienie, jakie znajdą one sobie w stawku, w który je wpuszczono. Przyjęto normę, że na morg ziemi zalanej wodą, zapuszcza się 300 sztuk narybku hodowlanego, z którego po roku, z uwzględnieniem tych niektórych sztuk, skazanych na zagładę, otrzymuje hodowca pół funta przyrostu na każdej sztuce. Narybek ten, gdy jednak natrafi na dobre warunki, może wykazać przyrost znacznie wyższy. Jeżeli jednak hodowca ma zamiar ryby dokarmiać, w takim razie zależnie od ilości i jakości paszy, jaką na cel ten przeznacza, wpuszcza na tą samą przestrzeń niepomiernie większą ilość narybku, gdyż wzrost karpi zależny tu jest, jak widzimy, od karmy. Hodowlany karp w Japonii ze względu na znakomite warunki, jakie hodowla ta tam znajduje, rośnie bez porównania prędzej niż u nas, a przyrost jego jest tak znaczny, że już w pierwszym roku dochodzi on bez dodatków osobnej paszy na tej samej przestrzeni do funta i więcej.

W naszych stawkach włościańskich tymczasowych, należących do spółki, gdzie ryba nie zimuje u hodowcy, zapuszczać najlepiej kroczki półtoraroczne lub dwuletnie w wadze od pół do półtora funta. Półtora funtowych sztuk lub funtowych wpuszczamy do $^1/_8$ morga stawu pierwszych 30, a drugich 40, półfuntowych zaś 50 sztuk i więcej, przy normalnych warunkach płacąc za funt karpia na dalszą hodowlę, przy wspólnem zakupnie od 60—80 halerzy. Jeżeli tedy stawek zarybiamy 50 sztuk półfuntowemi, to przy wspólnem zakupnie każde dwie sztuki kosztują nas od 60 do 80 halerzy, dajmy na to, że 80 halerzy; to przyrost w tymczasowem zarybieniu, począwszy od wczesnej wiosny do końca jesieni, przy dodatku pewnej przyjętej ilości karmy, powinien wynosić po funcie na każdej sztuce, czyli, uwzględniając wydatek jeszcze na karmę i jakieś nieprzewidziane szkody, niechby nas z zachodem razem funt kosztował jedną koronę, to jeszcze przy sprzedaży na miejscu, sprzedamy jej przez spółkę ze wszystkich stawków razem kupcom po 2 korony za kilogram, czyli zarobimy na $^1/_8$ morga 50 koron za lato, a wiele dziś zarabiamy za mokrą, kwaśną łąkę?...

Sprzedaż ryb odbywa się wspólnie, tak jak wspólnie sprowadza się je na dalszy chów. Dopóki spółka ma tylko kilka stawków, dopóty lepiej się jej opłaca kroczki sprowadzać z większych gospodarstw rybnych, jeżeli jednak członków przybywa spółce a stawków ma ona coraz więcej, wtedy lepiej spółka wyjdzie gdy przy pomocy Krajowego Towarzystwa rybackiego i Wydziału Krajowego założy własne wspólne tarliska i zimochowy, produkując narybek i kroczki we własnym zarządzie i obdzielając nimi następnie stawki swoich członków po rzeczywistej cenie kosztów produkcyi.

Sposób żywienia ryb i o szkodnikach ich w małych stawkach włościańskich podałem niedawno w jednym z numerów „Tygodnika rolniczego" i „Okólnika rybackiego" a także ogłosiłem następnie w osobnej broszurce, która jest do nabycia we wszystkich księgarniach pod tytułem: **„Wyzyskanie nieużytków polnych** przez zarybienie".

Stanisław Jasiński.

Dla Czytelników „Prawdy" i „Gazety „Niedzielnej" interesujących się hodowlą ryb w małych stawkach włościańskich ofiarowywamy 60 broszurek takich, o które należy się zgłaszać wprost do Redakcyi za nadesłaniem 5 hal. marki pocztowej na przesyłkę.

Z gospodarstwa.

Koszykarstwo.

Galicya nie ma dotąd zorganizowanej produkcyi handlu wyrobami z wikliny. Właściciele plantacyi wiklinowych winni się udać w celach uszlachetnenia gatunku wikliny lub w celu założenia nowych plantacyi wikliny do c. k. Zakładu naukowego i doświadczalnego dla koszykarstwa i pokrewnych technik plecienniczych we Wiedniu (k. k. Lehr- u. Versuchsanstalt für Korbflechterei und verwandte Flechttechniken Wien XVIII/1 — Währingerstrasse 194.

Tenże zakład przyczynia się do rozwoju koszykartwa przez:

1) Dostarczanie szlachetnych sadzonek,

2) pośrednictwo w zakupnie i sprzedaży sadzonek,

3) wysyłanie fachowca,

a) na koszt starającego się,

b) na koszt Zakładu, co należy w podaniu wyraźnie wymienić.

Wysłanie fachowca na koszt Zakładu może jednak nastąpić jedynie w uwzględnieniu godnych wypadkach.

Prośby o pomoc przy zakładaniu plantacyi wikliny, należy wnosić ostemplowane i zaopatrzone załącznikami do Dyrekcyi Zakładu najpóźniej do dnia 31 grudnia każdego roku. Dyrekcya bada je i rozstrzyga według zasługiwania na uwzględnienia i istniejących środków.

Nasi skrzydlaci przyjaciele.

(Ciąg dalszy).

W ciągu dwurazowego lęgu dostarczają szpaki swym dzieciom rano, co 3 minuty, a po południu co 5 minut, sute pożywienie w postaci rozmaitej jakości robaków, pędraków, gąsienic i chrząszczy. Cała rodzina, gdy opuści gniazdo zjada podczas dnia w ciągu 14-tu godzin najmniej 350 ślimaków, lub odpowiednią ilość innych polnych, czy ogrodowych szkodników.

Gdy zmrok nastaje, a ptaki po całodziennych trudach spoczywają już w gniazdach, wtedy rozpuszczają swe skrzydła; lelek (także kozodojem zwany) i sowy; w zwinnym i cichym locie chwytają i tępią całe gromady nocnych owadów i ciem; sowy prócz nich także tępią myszy polne. — Tych słów kilka to dopiero maleńkie, pobieżne naszkicowanie pożyteczności niektórych ptaków. Pozostała reszta z poprzednio wymienionych nie próżnuje również, lecz pracując nieustannie przyczynia się tylko do naszego dobra! Czy za to wszystko co nam czynią nie zasługują na względy i opiekę?

Sama tylko odpowiedź potakująca — to stanowczo za mało! Nie wystarczy także ów znany od dawna, polski słomiany ogień, po którym znowu wszystko zostanie, jak bywało. Smutny bardzo byłby rezultat dalszej naszej pod tym względem opieszałości i zaniedbania, klęski niezawodnie i coraz sroższe dla kraju!

Kto ma oczy ku patrzeniu, jak mówi pismo święte, ten widzieć musi i odczuwa zarazem niewątpliwie na własnej skórze, że ilość ptaków pożytecznych w naszym kraju jest podpadająco małą i że ta garstka naszych dobrodziejów z roku na rok zamiast rosnąć w mnogość i siłę rażąco maleje. Rzecz naturalna, że tak dziać się musi z wielu powodów. W imię rzekomego postępu kultury i rozwoju rolnictwa krajowego, w przeciągu niedługiego czasu wycięto staruszki lasy i krzów gęstwiny, stanowiące dla rzeszy ptaków schroniska i obfite w żywność miejsca wylęgu. Z dniem każdym giną i nikną ciągle pod siekierą resztki starych drzew z dziuplami, temi niezbędnemi naturalnemi mieszkaniami licznych, a najpożyteczniejszych rodzin ptasich. Te właśnie lasy, krzaki i stare drzewa były, że się tak wyrazimy, spichrzem ptaków, które dostarczały rolnikowi i mieszczaninowi odpowiednią ilość robotników dzielnych i niestrudzonych, wystarczającą do oczyszczania drzew z robactwa.

Drobna część z nich tylko znalazła u nas w tymczasowych miejscach swego pobytu znośne warunki do życia i gnieżdżenia się, została i założyła swe gospodarstwa; większa część powróciła do miejsc rodzinnych, by po odbytym lęgu młodem potomstwem, w gospodarstwach ptaków sąsiadów uzupełnić luki, poczynione przez ludzi, drapieżne ptaki i zwierzęta. Tym sposobem dzięki tylko cudzym zabiegom i staraniom utrzymywał się w równowadze stan naszych skrzydlatych przyjaciół, a nawet rok rocznie mógł stale wzrastać cokolwiek.

Za lekkomyślne wyrąbanie lasów i drzew starych cośmy im w zamian dali? Wielkie, okiem nie przejrzane obszary ziemi bez krzaka i drzewa, na których zbłąkany, a lotem strudzony ptak nie ma gdzie przez chwilę wypocząć, by schronić biedną swą główkę przed szponami spadającego nań jastrzębia, lub innego drapieżnika. Zostawiliśmy ptactwo na pastwę złemu losowi, pozbawiając je dachu i chleba!

Dalszą niemniej ważną przyczyną złego była i jest obojętność społeczeństwa — brak należytej ochrony i wszelkiej dla ptactwa opieki. Co mamy czynić? zapyta niejeden.

Trzeba chcieć działać i zrozumieć nareszcie interes swój własny, a tem samem i ogólny.

Niech każdy z czytających te słowa zechce choć cząstkę drobną uczynić w sprawie tak ważnej i żywotnej, niech w ten sposób choćby tylko cegiełkę drobną przyłoży do budowy naszej ekonomicznej przyszłości — a niebawem stanie gmach wspaniały ku pożytkowi i sile pokoleń!

Ustawa z roku 1874 o ochronie ptactwa zakazuje: psucia gniazd, wybierania jaj i piskląt, chwytania, zabijania i sprzedawania wymienionych ptaków, jak również nietoperzy i jeżów. Ścisłe przestrzeganie tych przepisów należy nietylko do c. k. władz politycznych, magistratów, zwierzchności gminnych, obszarów dworskich, c. k. żandarmeryi, straży publicznych, lecz także do wszystkich obywateli, którzy winni poczuwać się do obowiązku o każdem zaszłem najmniejszem przekroczeniu, zawiadomić natychmiast jedną z władz wymienionych celem ukarania szkodników.

Niszczenie gniazd, wybieranie piskląt i jaj ptasich ustaje wprawdzie, lecz bardzo powoli i dużo dobrych chęci i pracy pośród bezrozumnej gawiedzi będzie jeszcze wymagało zupełne wykorzenienie tej zaiste dzikiej zabawki, świadczącej o zwyrodnieniu uczuć i braku oświaty. Gorszą i więcej rozpowszechnioną zbrodnią, uprawianą jeszcze ciągle przez niezliczone zastępy niedorostków i handlarzy, jest chwytanie ptaków w samotrzaski, sidła, pętle z włosienia końskiego (oka), na lep a co najstraszniejsze porą zimową — w sieci. Tym sposobem już nie pojedyncze ptaki, lecz całe ich stada giną bezpowrotnie! Dla kilku marnych groszy toczy się jeszcze pokryjomu ten bestyalski handel, a co nie zdatne na targ, duszą ci bez iskierki ludzkich uczuć mordercy, lub z połamanemi nóżkami, poprzekręcanemi skrzydełkami, ledwo żywe, puszczają niby na wolność — a właściwie tylko na pożarcie różnym drapieżnikom.

I właśnie temi ofiarami są przeważnie samice, najpierwsze i najważniejsze w ptasim rodzie czynniki, podtrzymujące mnożność i siłę dobroczyńców ludzkości! Jakże ogromną krzywdę wyrządzają tacy niszczyciele — zbrodniarze biednemu ptactwu, dzielącemu z nami przykrości zimy! Jakże wielką niepowetowaną czynią szkodę i tak już biednemu krajowi, pozbawiając go rok rocznie, w przybliżeniu nawet określić się niedającej ilości, najwierniejszych przyjaciół rolnika! A strzelanie przez niedorostków z flobertów dla zabawy do wszystkich bez różnicy ptaków jak należałoby napiętnować? Raz przecie ustać muszą i powinny te barbarzyństwa! Wpływ duchowieństwa i szkoły najwięcej dla podniosłych idei zdziałać może i dlatego to odzywamy się do Was kapłani, którym Chrystus powierzył pieczę dusz ludzkich i pracę nad ich uszlachetnieniem i do Was nauczyciele, którym pod mianem „Szkoły“ oddało społeczeństwo kształcenie serc i umysłów młodzieży, naszej i kraju całego nadziei, z gorącą prośbą o poparcie na

szych usiłowań! Nauczajcie o potrzebie i pożyteczności ptaków zbrodniczą ręką tępionych, nie oszczędzajcie trudu ni pracy nad moralnem podniesieniem tej części ludu i młodzieży, wśród której właśnie zanik uczucia ludzkości i wszelkich najprymitywniejszych zasad etyki musza nas przez wzgląd na dobro kraju do tej publicznej skargi i do żądania Waszej skutecznej pomocy.

(Dokończenie nastąpi).

Rozmaitości.

KALENDARZYK

Dziś niedziela 7 września — Reginy p.
poniedziałek 8 — Narodzenie NM. Panny
wtorek 9 — Georginiusza
środa 10 — Mikołaja z Tol.
czwartek 11 — Frota i Jacka mm.
piątek 12 — Waleryana m.
sobota 13 — Tobiasza.

Dziś wschód słońca o godzinie 5, minut 21; zachód o 6, min. 34; długość dnia 13 godzin, 26 minut. Dziś pierwsza kwadra księżyca.

Z klasztoru OO. Bernardynów w Rzeszowie. W bieżącym roku dobiega czterysta lat objawienia się Matki Boskiej w Rzeszowie, a zarazem 150 lat pierwszej koronacyi.

Cztery wieki jak pobożnemu kmiotkowi objawiła Matka Boża swoją wolę„ że na ziemi rzeszowskiej obiera sobie tron ziemski, że tu w Rzeszowie chce być poszczególnie czczoną.

Cztery wieki cudowna Matka Boża hojnie zlewa swe łaski i błogosławi miastu Rzeszowowi i całej naszej Ojczyźnie — więc z samej wdzięczności za te dobrodziejstwa winniśmy złożyć tej naszej Pani i Królowej publiczną cześć i podziękowanie w czasie tej czterechsetletniej rocznicy.

W tym celu klasztor, idąc za myślą Kościoła św. i za ogólnem życzeniem czcicieli cudow. Matki Bożej, obchodzi czterechsetletni jubileusz, klasztor urządza trzydniowe rekolekcye duchowne, które rozpoczną się 4 września nieszporami i wstępną nauką.

Porządek nabożeństw i nauk rekolekcyjnych ogłoszony jest afiszami.

Jubileusz zakończy się 8 września pontyfikalną mszą św. z rana o godzinie 10 celebrowaną przez J. Eksc. ks. biskupa J. Pelczara, a po południu procesyą z cudowną figurą Matki Bożej po ulicach miasta, kazaniem i uroczystem Te Deum.

Na jubileusz ten klasztor OO. Benedyktynów zaprasza czcicieli cudownej Matki Bożej.

Szkoła gospodyń wiejskich w Tłumaczu urządza 4-ty kurs gospodarstwa domowego i wiejskiego dla córek gospodarzy wiejskich. Kurs trwać będzie 10 miesięcy, od 1 października 1913 r. do końca lipca 1914 r. Nauki praktyczne obejmować będą następujące działy: gotowanie, pieczenie chleba, mleczarstwo, pranie, prasowanie, szycie, krój, porządki domowe, hodowla bydła, trzody, drobiu i ogrodnictwa. W program nauki teorytycznej wchodzą przedmioty pouczające: religia, rachunki, historya polska, geografia oraz pogadanki z zakresu nauk przyrodniczych, hygieny i pedagogii. Miesięczna opłata za naukę, mieszkanie i utrzymanie wynosi 15 k. Zgłaszająca się uczennica powinna mieć ukończonych lat 16, i przedstawić następujące załączniki: 1. metrykę chrztu, 2. świadectwo szkolne, 3. świadectwo moralności, 4. świadectwo lekarskie, 5. deklaracyę rodziców, lub opiekunów, że będą uiszczać miesięcznie z góry opłatę szkolną. Zgłoszenia należy nadsyłać na ręce opiekunki szkoły p. Antoniny Horodyńskiej w Przybyłowie poczta Tłumacz.

Bandycki napad na pociąg pode Lwowem. Niezwykle zuchwałego napadu, przypominające napady bandyckie w Rosyi, dokonała w nocy z dnia 26 na 27 sierpnia szajka bandytów pod Sichowem koło Lwowa, na pociąg pośpieszny, jadący od Stanisławowa, a przechodzący do Lwowa o godzinie 12 min. 7 po północy. Mianowicie przed stacyą Sichowem nagle ktoś z pociągu pociągnął za linkę alarmową, wobec czego maszynista zatrzymał pociąg.

Wówczas kilkunastu młodych ludzi z rewolwerami w rękach otoczyło maszynę. Maszynistę pod groźą rewolwerów zmuszono do bezczynności, palacza związano, poczem bandyci strzelając z rewolwerów, otoczyli wagon pocztowy, na który był skierowany zamach. Urzędnicy pocztowi na czas jeszcze zdołali zamknąć wagon od środka. Publiczność przerażona przebiegała wagony. Pytano o rewolwery, nikt jednak z podróżnych nie miał przy sobie broni palnej, choć jechało pociągiem kilkunastu wojskowych i 1 żandarm. Służba pociągu również była zupełnie bezbronną. Dopiero jadący pociągiem konduktor ze Stanisławowa p. Jurkiewicz wpadł a pomysł zawiadomić o napadzie stacyę. Wybiegł więc z pociągu do sąsiedniej budki, skąd zatelefonował do najbliższej stacyi, żądając pomocy. To dopiero uspokoiło publiczność, a jeden z podróżnych znalazł przy sobie rewolwer. Z rewolwerem tym, w towarzytwie służby pociągu udał się w stronę maszyny. Na widok zbliżających się, bandyci widocznie niezbyt śmiali, lub też może sądząc, że nadchodzi pomoc — zbiegli. Po ich ucieczce okazało się, że celu zupełnie nie osiągnęli. Prócz kilkunastu znaków od strzałów rewolwerowych na wagonie pocztowym i wybitych w tym wagonie szyb, nie wyrządzili bandyci żadnej szkody. Ogółem dali bandyci około 30 strzałów. Po ucieczce bandytów puszczono pociąg w ruch po dłuższej chwili, służba pociągu bowiem z początku obawiała się dalej jechać. W Sichowie przeprowadzono pierwsze dochodzenie, a na stacyi w Persenkówce zatrzymano pociąg ponownie; zjawiła się żandarmerya. Dopiero o godzinie 2 w nocy przybył pociąg wraz z wystraszoną publicznością do Lwowa. Wagon pocztowy, na który napadli bandyci, wiózł gotówką około 150 tysięcy kor. Jest to pierwszy w Galicyi napad bandycki na pociąg.

. Policya lwowska wyznaczyła tysiąc koron nagrody za wykrycie sprawców napadu, dotąd atoli nie natrafiono na ich ślady. Przeprowadzone przesłuchanie służby i urzędników kolejowych również nic nie przyniosło ważnego, coby mogło ułatwić pościg za złoczyńcami. Policya uwięziła palacza napadniętego pociągu, gdyż wikłał się w swych zeznaniach.

coby wskazywało, że stał w porozumieniu z bandytami. Wogóle bardzo dziwne krążą opowieści o tym całym napadzie.

Śmierć uczonego polskiego. W Warszawie zmarł 21 bm. jeden z najznakomitszych uczonych polskich i historyków Aleksander Jabłonowski. Jako historyk badał ziemie wschodnie Rzeczypospolitej polskiej i wielu książkach, które napisał podczas swego bardzo pracowitego żywota udowodnił przed obcymi niezadawnione prawa nasze do tych ziem. Przez śmierć jego Polska poniosła niepowetowaną stratę.

Straszna zbrodnia w klasztorze. W Złoczowie, w tamtejszym ruskim klasztorze Bazylianów, popełniono straszną zbrodnię w nocy w zeszłym tygodniu. Niewyśledzeni dotychczas sprawcy wdarli się przez okno do klasztoru i zamordowali ihumena (przeora) klasztoru ks. Ignacegi Kossaka. Rano znaleziono 64-letniego ihumena bez życia. Rozbójnicy zarżnęli go. Zbrodni dokonano w celach rabunkowych. Czy i wiele kosztowności zrabowano, niewiadomo. Rano zjawiła się na miejscu komisya sądowa. Mieszkanie znaleziono w największym porządku, nic w niem nie poprzewracano, ani nie porujnowano. Służba klasztorna nie może podać żadnych szczegółów, o niczem nic nie wie. Co nieznani zbrodniarze zrabowali, dotychczas jeszcze nie stwierdzono. Żandarmerya wpadła już, jak się zdaje, na trop zbrodniarzy, ale jeszcze żadnych aresztowań nie dokonano. Przeprowadzona sekcya zwłok zamordowanego wykazała, że zadano mu ośm ran w głowę i krzyże brzytwą, nożem lub bagnetem. Potworna ta zbrodnia sprawiła ogromne wrażenie. Zamordowany przeor wcale nie uchodził za człowieka bogatego, dlatego przypuszczają, że padł ofiarą nie rabunku ale zemsty.

Zatrzymanie emigrantów. Z Zagórza piszą nam: Na tutejszym dworcu w niedzielę 24 bm. o godz. 5 rano zatrzymano partyę z 80 młodych popisowych parobczaków wraz z agentem Austro-Amerykany z Ustrzyk, który prowadził młodych, znędzniałych, obdartych, przedstawiających widok nader smutny, bez paszportów do Kanady. Agentem był żyd. Całą partyę zatrzymano na stacyi kolejowej pod opieką służby kolejowej i handlarza i wezwano pomocy ze starostwa sanockiego, aby tych biednych ludzi co się oddali w opiekę pijawki emigracyjnej, pociągnąć do odpiwiedzialności karnej za ucieczkę przed wojskiem i odszupasować do domów.

Straszny czyn obłąkanej matki. Przejmujący wypadek wydarzył się onegdaj we wsi Jaszczorowa koło Ropczyc. Żona tamtejszego włościanina Armaty, w chwili, gdy mąż oddalił się z domu, wpadła w szał i chwyciwszy siekierę zamordowała nią troje swych nieletnich dzieci. Najstarsze z dzieci liczyło lat 9, najmłodsze zaś około sześciu. Kiedy sąsiedzi zauważyli okropną zbrodnię, związali szaloną matkę i oddali ją w ręce żandarmeryi. W chwilę później przybył do domu mąż nieszczęśliwej kobiety, a ujrzawszy trupy dzieci usiłował targnąć się na swe życie, ale mu przeszkodzono. Okropna ta zbrodnia wywarła w całej okolicy niesłychane wrażenie.

Ukraińcy a Wilhelm II. Z Wiednia donoszą, że istniejący w Wiedniu ukraiński związek robotniczy „Rodyna" o zabarwieniu socyalistycznem, wysłał z okazyi jubileuszu cesarza Wilhelma telegram hołdowniczy do Berlina, w którym w najpoddańszych wyrazach zapewnia go o swem uwielbieniu, podziwie i czci. W odpowiedzi na tę depeszę, niemiecki ambasador w Wiedniu nadesłał na ręce prezesa „Rodyny", p. Mikołaja Kozłowskiego pismo z podziękowaniem i zapewnieniem, że przesłane życzenia zostały cesarzowi niemieckiemu przedstawione. Klub posłów ruskich w Wiedniu przesłał również telegram cesarzowi Wilhelmowi w tymże samym duchu zredagowany.

Emigracya popisowych. Dzienniki prawie co dzień donoszą o wypadkach zatrzymania przez policyę na rozmaitych stacyach kolejowych w Galicyi popisowych, wyjeżdżających do Ameryki. Policya wszystkich zwraca z drogi, aresztując i oddając pod sąd tych, którzy mają fałszywe dokumenty. Przy tej sposobności wychodzi na jaw, że tego rodzaju emigranci zazwyczaj powierzają się opiece rozmaitych pokątnych agentów, którzy ich w zamian za obietnicę ułatwienia przejazdu niemiłosiernie obdzierają. Bardzo słusznie organ ludowy Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego „Praca" w ostatnim numerze zwraca uwagę, że młodzi ludzie, wyjeżdżający do Ameryki w celu uchylenia się przed powinnością wojskową, skazują się w ten sposób na dobrowolne dożywotnie wygnanie. Najczęściej żałują swego kroku, ale już po niewczasie. Obawa przed odpowiedzialnością za niestawienie się do asenterunku zamyka im powrót do kraju ojczystego, do rodzinnej wioski, do rodziców, do krewnych, do przyjaciół. Kuszą zaś do emigracyi za morze najczęściej rozmaici spekulanci emigracyjni właśnie dlatego, że na popisowych najwięcej zarabiają. Gdyby nie namowy z tego źródła, emigracya popisowych nie odbywałaby się w takich jak dzisiaj rozmiarach.

Niestety ludzie po wsiach mało jeszcze u nas wiedzą o istnieniu Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, które właśnie dla dobra wychodźców istnieje. Wprawdzie biuro podróży tego towarzystwa w Krakowie kart okrętowych popisowym nie sprzedaje, a nawet odradza im wędrówkę za morze, ale zato uprawnionym do wyjazdu daje dobre pouczenia na drogę i informacye, ostrzegając przed wyzyskiem i błędami. Czas byłby tedy najwyższy zerwać już raz z pokątnymi agentami a we wszelkich sprawach emigracyjnych zwracać się do P. T. E. Popisowym zaś niech starsi stanowczo odradzają, bo i sobie i krajowi szkodę wielką czynią, porzucając na zawsze ziemię ojczystą!

Poradnik dla pytających.

P. W. S. w P. Tak Panu jako też wszystkim interesowanym odpowiadamy, iż w sprawie cukru denaturowanego należy się odnosić wprost do Zarządu centralnego zjednoczonego gal. Towarzystwa dla ogrodnictwa i pszczelnictwa we Lwowie.

Wobec klęski grożącej także pszczołom może się okazać przydatną książeczka: „Hodowla pszczół", którą można nabyć u nas za cenę 15 hal.

P. J. W. w S. Dla nieznających języka angielskiego możliwem jest jedynie wstąpienie do Seminaryum Orchard Lake Michigan, dokąd należy adresować: To The Rector of Polish Seminaryum, Orchard Lake, Michigan, U. S. A.

P. M. H. w B. W odpowiedzi na list pański donosimy, iż są różne instytucye finansowe chrześcijańskie, więc trudno nam odpowiadać na podobne ógólnikowe pytania. Jeżeli jest w miejscu kasa Raiffeisena, niech Pan z niej korzysta, dalej niech Pan zaprenumeruje gazetę: „Kupiec polski", która wychodzi w Krakowie ul. Wolska, a ta będzie Panu udzielać fachowych wiadomości.

P. F. F. w D. Formy do wyrobów betonowych wyrabia firma Bogucki w Chrzanowie.

Podziękowanie „WIŚLE“

ludowemu Towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie.

Niniejszem poczuwamy się do obowiązku złożenia publicznie podziękowania jedynemu ludowemu Towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń „Wisła“ za nadspodziewanie rychłe i sumienne zlikwidowanie szkody zrządzonej pożarem dnia 4 sierpnia b. r. o godzinie 1 po południu. Już 4 dzień po wypadku przybył ze Lwowa likwidator „Wisły“ i oszacował szkodę nadzwyczaj sumiennie i prędko a nadto przedstawił oszacowanie swoje również mężom zaufania, aby i ci swoje zdanie wyrzekli przystając na ich decyzyę. Gdy przeto ciż orzekli, że pozostała niespalona część domu wartości 200 K. Towarzystwo „Wisła“ wypłaciła do rąk moich kwotę 1.000 Koron, gdyż cały budynek ubezpieczony był na kwotę 1.200 Koron. Za tak sumienne i gorliwe postępowanie składamy na tej drodze serdeczne „Bóg zapłać“.

Wojtówka, dnia 7 sierpnia 1913.

Karolina i Jan Jarzyna m. p.

Wydawca: „Katolicka Spółka Wydawnicza“. Sp. z ogr. odp.—Odpowiedz. redaktor: Stefan Schweichler.
Drukiem „Prawdy“ pod zarządem Józefa Jondry w Krakowie.

Pielęgnowanie nerwów.

Pogadanka naukowa.

Choroba nerwów zwana także neurastenią da się łatwo rozpoznać przez prędkie zmęczenie, wyczerpanie sił i brak wszelakiej energii. Czujemy się, jak rozbici, rano po wstaniu jest się niewypoczętym, lecz tak samo znużonym, jak wczoraj wieczór. Dołączają się do tego jeszcze dolegliwości, jak kolki, suchy ból w członkach, bicie serca, obłęd, uczucie strachu itp. jestto stan poważny i wnet kończy się z nerwami.



Prof. Pollacci lekarz przyboczny papieża.

Lecz nowożytna wiedza zna dobre metody uniknięcia tego i wzmocnienia nerwów, nie tylko kąpiele lub ćwiczenia cielesne, te surowe, nieraz wprost nieznośne dla osób nerwowo chorych. Są to proste zasady życiowe, w pierwszej linii należyte odżywianie się. Jest pewna metoda, której główną cechą jest „odżywienie" bez następującej senności, jak po alkoholu kawie i innych środkach pobudzających. Metoda ta odświeża umysł, daje nowe siły [illegible] wszelkie [illegible].

Potęguje się energia, krew krąży, czynność serca regularna, a żywsze krążenie krwi lepiej odżywia i wzmacnia organizm, przedewszystkiem zaś mózg i rdzeń kręgosłupa.

Poprawia się [illegible], żołądek wchłania w siebie składniki fosforu i lecytynu i t. zw. sole limfatyczne znajdujące się w [illegible] ilości w pokarmach, mleku i jajach i o wiele lepiej przerabia je na pokarm dla nerwów niż jakiś [illegible] w laboratorium. Jest prosta i właściwa droga odżywiania nerwów, mianowicie oszczędzanie i [illegible] zapasu siły i pobudzania do [illegible] samą z codziennego odżywiania się.

Nerwów nie da się paść, wobec czego wszelkie środki odżywcze nerwów są bezwartościowe, jeżeli już wprost nie szkodliwe. Wielu lekarzy używają nowej pobudzającej metody nie tylko pacyentom ale i sami. Światowej sławy profesorzy zaprowadzili ją w szpitalach i rozpatrywali ją [illegible] w instytutach naukowych. Nawet papiezki lekarz przyboczny i królewskiej pary włoskiej z uznaniem o niej się wyraził. [illegible] student pisze:

„Przykre cierpienie prześladuje mię. Opowiadam Panu tylko fakta. Wskutek umysłowego wytężenia a niedostatecznego odżywiania się tak podupadłem na siłach, że, jak się obecnie dowiaduję, kilku moich znajomych miało mię za straconego. Tak strasznie cierpiałem na ból głowy, że idąc chwiałem się na nogach. Używałem już różnych nerw. środków odżywczych bezskutecznie. Aż wpadła mi w ręce wiadomość o pańskiej metodzie. [illegible]czytałem książkę o niej – powiem otwarcie – z niedowierzaniem. Ale mimoto postanowiłem spróbować. Było to przed 2 miesiącami. Zastosowałem systematycznie pańską metodę niezmieniając trybu mego życia. Już po kilku dniach był skutek. Rwący ból głowy ustał. Niezwykła ochota do życia i twórczość i radosne poczucie siły i mocy przejmowały mię. Moi krewni i przyjaciele dziwią się memu obecnym wyglądem, a ja stałem się poniekąd [illegible]żącą pańską reklamą.

Z powyższych słów zrozumie Pan, że Mu się należy gorąca podzięka, choć jej wyrazić nie [illegible] [illegible]wiadomić". 239

Te wierzgodne słowa uczonego powinny każdego myślącego spowodować, by się zapoznał z tą cudowną metodą [illegible], że to nic nie kosztuje. Korespondentka na adres Heilige Geist Apotheke, Budapest VII. [illegible] 504 wystarczy, a każdy otrzymyje gratis i franko pouczającą w zrozumiałym stylu książkę wyż. wspomnianą.

[illegible] wnet pięść, póki starczy nowe wydania.

HYMN DO KRÓLOWEJ KŁOSÓW.

Z lazurowego, promiennego wnętrza,
Kędy z gwiazd złotych masz tron i podnoże,
Na łan poziomy nasz — o Przenajświętsza! —
Na falujące spojrzyj kłosów morze,
Które się kłania Tobie korną głową —
Kłosów Królowo!...

Zamiast królewskiej purpury szkarłatów
Anielska Ciebie zdobi szat prostota —
Płaszcz Cię błękitny, utkany z bławatów,
Stroi — z ozdobą kłosianego złota...
Masz z pól tych szatą barwę jednakową —
Kłosów Królowo!...

Bławatek każdy wiesz gdzie Tobie kwitnie;
Wiesz, gdzie się w bujne kłos nalewa ziarna —
Kiedy obchodzisz miedzą łany żytnie
Z błogosławieństwem — Pani gospodarna!...
A idziesz z wiatrem wraz i z falą płową —
Kłosów Królowo!...

Błogosław naszym pracom całorocznym,
Około świętej tej ziemi podjętym,
Naszym orzącym pługom i zawłocznym
Bronom — i kłosom kwitnącym — i zżętym!
I plony pozwól nam zwieźć cało, zdrowo —
Kłosów Królowo!...

Niech nad oraczem będzie Twa szczodrota,
Gdy pług prowadzi brózdą wąskoskibną,
Gdy w czarną rolę ziarna porozmiota
W obiedwie strony garścią nieochybną!
Niech w łonie ziemi kiełek rośnie zdrowo —
Kłosów Królowo!...

Błogosław rosomy co sterczące dumnie
Kłosy ciężarem swym schylą i nagną...
Błogosław deszczom, które idą szumnie
Po cichych łanach zbóż — gdy pola pragną...
Co rano strząś nam rosę brylantową —
Kłosów Królowo!...

Błogosław słońca promiennym uśmiechom,
Które sprawiają w kłosach ziarn dojrzałość!
Błogosław wiejskim, podlipowym strzechom,
Gdzie z pod zieleni ścian wygląda białość —
Co wyślą z siebie ludność, żąć gotową —
Kłosów Królowo!...

A gdy już zboża dojrzałe okwitną,
I kłosy głowy w dół ciężarne zwieszą,
Nad nami otchłań wypogódź błękitną
I pobłogosław żniwom — które spieszą
Z brzękiem kos — skwarne — na pracę zbiorową —
Kłosów Królowo!...

Błogosław wówczas złocistym pokosom,
Które się w rzędy równe pod sierp garną...
Błogosław dzbanom, które rzeźwość niosą
Spoczywającym w dnia godzinę skwarną —
A po spoczynku dodaj sił na nowo —
Kłosów Królowo!...

Dożynki przyjdą po trudach mozolnych —
A już Ci żaden milszym nie jest wieniec,
Niż ten, co z kłosów i bławatków polnych
Za plony wdzięczny Ci uwije żeniec
I pod figurą zawiesi wioskową —
Kłosów Królowo!...

Błogosław cichym, pracowitym wołom,
Co z wielkim skrzypem wozy ciągnąć będą...
Błogosław nawciąż rozwartym stodołom,
Co w sobie cały polny zbiór posiędą —
A nad zbiorami bądź nam z łaską nową —
Kłosów Królowo!...

Błogosław chlebom, które się wypieką
Dla ludu głodnych ust z młodego żyta!...
A nas pod świętą trzymaj Swą Opieką!
Spraw, byśmy chleba mając aż do syta,
I karm dla ducha mieli równie zdrową —
Kłosów Królowo!...

KRÓLEWSKIE DARY.

(OBRAZEK HISTORYCZNY).

Wielki ruch i gwar panował na zamku możnego hetmana i wojewody Wszebora, w roku 1132. W komnatach pańskich odbywała się uczta pożegnalna. Na dziedzińcu pyszne, osiodłane rumaki grzebały niecierpliwie kopytami ziemię, a obok nich uwijali się pachołki, dziarskie chłopaki ze stanu wieśniaczego, mający towarzyszyć swym panom na wyprawę wojenną. Niebawem pojawił się wychodzący z zamku pan wojewoda, obok swej młodej małżonki i sędziwego księdza kapelana, a za nimi postępowało liczne, dostojne rycerstwo polskie, pełne zapału wojennego. Cisza zapanowała na dziedzińcu. Wojewoda Wszebor odezwał się wtedy jeszcze raz donośnym głosem do rycerstwa:

— Śmierć króla węgierskiego, Stefana II, sprawiła wielki ruch, który Niemcy, Węgry, Czechy, a szczególnie Ruś i Polskę ogarnął. Przyrodni brat Stefana, Borys, pozbawiony przez ojca Kolomana praw do korony węgierskiej, uciekł się pod opiekę naszego króla Jegomości Bolesława Krzywoustego, prosząc o pomoc, celem pozyskania przynależnego mu tronu. Miłościwy nasz monarcha, najdzielniejszy od młodości wojownik, który już 46 bitew na czele rycerstwa polskiego stoczył i wygrał, pewnie i teraz zwycięsko z tej wyprawy powróci, na którą mi z wami, szlachetni rycerze śpieszyć wypada, aby się połączyć z królem i wojskami jego. Żegnaj mi przeto moja droga żono, Wieńczysławo! W Bogu nadzieja, że zdrowo do domu powrócę. Wy zaś księże kapelanie, ojcze duchowny, bądźcie jej aniołem stróżem i przyjacielem!

Wieńczysława, oblana łzami, ale dzielna na duchu, rzucając się na szyję swego męża, wyrzekła:

— Niech was Bóg i Najwiętsza Panna prowadzi i ochrania! Mężu najmilszy! tyś na czele tego dzielnego rycerstwa. Wiem, co was czeka: zwycięstwo, albo zgon chwalebny!

Potem zwróciła się do starego, wiernego sługi, który miał Wszeborowi towarzyszyć i przemówiła doń:

— Bogusławie! od urodzenia wiernie strzegłeś pana swego i dałeś niejeden dowód przywiązania; poruczam ci więc i teraz straż nad jego życiem. Bądź nieodstępnie przy jego boku, a gdy będziecie wracali z wojny, niech twoje usta oznajmią przybycie męża. Jeśli zaś, czego Boże broń, polegnie z chwałą na polu bitwy, ty mi przywieź jego ciało, abym ze czcią złożyć je mogła w grobach ojców naszych!

Po tych słowach sędziwy kapłan wzniósł z błogosławieństwem krzyż święty do góry — a rycerze, poklękłszy, całowali z pokorą wizerunek Chrystusa i odjechali na wojnę.

Po odjeździe wojowników smutno zrobiło się na zamku. Łzy pożegnania jaśniały jeszcze długo na licach zacnej niewiasty polskiej, która męża wyprawiła na boje. Kazała najpierw pozamykać podwoje ciężkich bram na czas niebytności pana, a potem upadła na kolana i długo pogrążyła się w cichej modlitwie przed obrazem Najświętszej Panny.

Mijały dnie i tygodnie, a z pola bojów nic nie było słychać. Słoneczko wiosenne, które przyświecało odjeżdżającemu Wszeborowi, coraz większym płonąc żarem, podniosło w górę zielone kłosy i odziało je dojrzałości szatą.

Wnet też żniwa nastały i po żniwach srebrny szron nagie pola pokrywać zaczął, a dotąd żadna wieść o losie męża nie doszła do uszu stęsknionej Wieńczysławy.

— Muszę ci wyznać, mój ojcze — mówiła dnia jednego, siedząc w gronie służebnych swoich ze świeżo nałożoną kądzielą, do zadumanego kapelana — że dziś od rana mam smutne przeczucie; zdaje mi się, że wkrótce dojdą nas złe wieści o naszem rycerstwie.

— Wszystko jest w Bożej mocy, — odezwał się bogobojny kapłan — a przeczucia ludzkie mogą być mylne. Polećmy i dziś w gorącej modlitwie Bogu los męża twego i jego towarzyszów.

I rozpoczęto razem modły, lecz zaledwie odmówić zdołano w połowie słowa litanii, gdy na dziedzińcu głośne szczekanie psów oznajmiło przybycie gościa, a silny tętent konia dał się słyszeć pod oknem. Za chwilę stary Bogusław wszedł do komnaty, a skłoniwszy się nisko, stanął przed swoją panią. Wieńczysława spojrzała na niego z przerażeniem; bladość śmiertelna pokryła jego lica, a wpół dopiero zagojone cięcie na lewym policzku dodawało mu dziwnie złowrogiej powagi.

— Z jaką wieścią przybywasz do mnie? — spytała, drżąc na całem ciele żona Wszebora. — Masz mi oznajmić rychły powrót, czy śmierć męża mego?

— Powrót głoszę — rzekł, nie zmieniając postawy wierny sługa.

— Czemuż więc jesteś tak smutny? — rzekła Wieńczysława.

Bogusław na to odpowiedział:

— Walczyłem przy boku pana i byłem świadkiem wszystkiego. Rycerstwo nasze, pomimo mądrości i męstwa nieustraszonego króla Bolesława, który sam walczył na czele całego wojska, poniosło wielką klęskę na Węgrzech w górach spiskich nad rzeką Sajo. Zdrada Rusinów i Węgrów, fałszywych sprzymierzeńców Borysa, w którego sprawie nasz król Jegomość walczył, była główną przyczyną klęski. Król Bolesław poznał zamiar niegodziwych stronników i widząc w boju pewną zgubę, otoczony ze wszech stron przez zdradliwych Węgrów, postanowił bronić się bohatersko. Uderzył na nieprzyjaciół z całym zapałem, a tnąc ich ostrzem swego miecza, „żórawiem“ zwanego i kładąc około siebie stosy trupów, wołał na swoich: Naprzód dzieci! w imię Boga! macie porę do okazania męstwa, zginąć lub zwyciężyć! Tą niesłychaną odwagą i męstwem zagrzał król upadające już na duchu rycerstwo polskie. Rozpoczęła się okropna walka i już zwycięstwo chyliło się na naszą stronę, już nie wiele brakowało do pokonania daleko liczniejszego wroga... gdy wtem jeden ze znakomitszych urodzeniem rycerzy dał znak do odwrotu i ucieczki.

Wskutek tego powstało zamięszanie na lewem skrzydle, poczęto pierzchać — i bitwę przegraliśmy... Sam król Bolesław byłby zginął wtenczas, bo koń jego upadł w boju, gdyby nie przytomność i odwaga prostego chłopa, pachołka, który z narażeniem własnego życia, podał innego konia królowi i na tym koniu Bolesław, potykając się z niesłychaną walecznością, przebił się przez otaczających go nieprzyjaciół i uszedł ledwo z życiem. Ach! ta bitwa strasznym smutkiem zakrwawiła me serce, a bohaterski nasz król Bolesław Krzywousty nie zapomni pewnie chwili tej strasznej klęski, jakiej nie zaznał jeszcze nigdy w swem życiu!

Usłyszawszy to Wieńczysława, załamała ręce i rzekła w uniesieniu:

— O! niech będzie przeklęty ten, co stchórzył i stał się powodem nieszczęśliwego losu wojsk naszych! Niechaj ojczyzna wzgardzi nim, a własna rodzina niech go nie przyjmie na swe łono!

Na te słowa Bogusław zbladł jeszcze bardziej i niespostrzeżony wysunął się z komnaty.

Nazajutrz miał przybyć pan Wszebor do swego zamku w towarzystwie kilku innych rycerzy.

Na przyjęcie oczekiwanych gości poczyniono odpowiednie przygotowania. Wieńczysława w gronie kilku służebnych i księdza kapelana wyjechała na spotkanie małżonka. Wojewoda wrócił smutny i milczący. Nie rozweseliły go ani tkliwe pieszczoty żony, ani powitania sług wiernych — nawet podczas uczty, jaką wyprawiono dla przybyłych, strudzonych wojowników, nie rozpogodził oblicza, nie tknął prawie potraw, tylko kielichy wypróżniał obficie.

Wieńczysława, przypisując smutek swego męża nieszczęśliwie zakończonej wyprawie wojennej, cierpiała również i złorzeczyła w duchu niegodziwemu sprawcy popłochu w wojsku Bolesława.

W kilka dni potem siedział pan Wszebor zadumany obok żony, zajętej przędzeniem i słuchał czytającego z wielkiej księgi kapelana. Wtem dano znać, że przybył poseł od króla z darami dla pana wojewody. Lica Wieńczysławy rozpromieniły się wielką radością, ale Wszebor zmieszał się i wzrok ku ziemi spuścił. Wprowadzono posłańca królewskiego do komnat zamkowych, który oddał panu przesyłkę. Złamano pieczęcie, lecz któż opisze zdziwienie, rozpacz Wszebora i jego żony Wieńczysławy, na widok tego, co posyłka zawierała?

Oto król Bolesław posłał w darze panu wojewodzie skórkę zajęczą, kądziel i wrzeciono oraz wyrazy najwyższego oburzenia za tchórzostwo, jakiego się pan Wszebor w czasie bitwy dopuścił. On to bowiem był owym rycerzem, który dał znak do ucieczki i stał się powodem klęski.

Przez nadesłanie tych przedmiotów chciał król ukarać i upokorzyć wojewodę; skórka bowiem zajęcza oznaczała bojaźliwość; kądziel zaś i wrzeciono słabość niewieścią. Były to podarki strasznie hańbiące rycerza, bo dzielność i odwaga jest ozdobą mężczyzny. — tchórzostwo i słabość, jego hańbą i podłością.

Na ten widok zbladła Wieńczysława śmiertelnie i padła zemdlona na ziemię. Wszebor zaś pohańbiony, wybiegł ze dworu i już więcej nie powrócił. Znaleziono go nieżywego w lesie.

Podczas gdy ciało wojewody grzebano na cmentarzu, nieszczęśliwa Wieńczysława odjeżdżała w dalekie strony, aby w murach klasztornych ukryć swoją niedolę i w habicie mniszki spędzić resztę dni życia.

Dzielny zaś chłopek, który królowi w bitwie konia podał, przez co mu życie ocalił, otrzymał za swą odwagę i poświęcenie, dla siebie i dla swego potomstwa na wieczne czasy szlachectwo, oraz wielkie obszary ziemi w darze, o czem historya z chlubą wspomina i za przykład wszystkim podaje.

KRYSTYN GOZDAWA.

Przed siedmiuset laty, po obu brzegach Wisły, tam, gdzie Płock i Warszawa, to jest w części kraju zwanej Mazowszem, panował wnuk Bolesława Krzywoustego, książę Konrad. Ojciec, Kazimierz Sprawiedliwy, kilkoletniem odumarł go dzieckiem i nie mógł w synu zacnych swoich zaszczepić zasad; wyrósł przeto Konrad na młodziana tęgiego lecz bez rozumu i serca. Chociaż w chwili objęcia rządów miał lat szesnaście, żadnej jednak nie okazywał ochoty do czynów, nic nie przedsięwziął dla zjednania sobie miłości narodu lub sławy. Zamiast strzedz granic, ścigać złoczyńców, godzić zwaśnionych i pilnować porządku, po całych tygodniach ze zgrają swawolnych dworzan w puszczach rozległych polował na jelenie i dziki; podczas pobytu w stolicy we dnie spał, w nocy ucztował, słuchając pochlebstw, niedorzecznych piosenek i gawęd.

Próżnował książę, chociaż krainie poważne zagrażały niebezpieczeństwa. Na północ Mazowsza, ku morzu Bałtyckiemu, pomiędzy Wisłą i Niemnem mieszkał lud nieokrzesany, znany pod nazwą Prusaków. Obcą była Prusakom wiara chrześciańska, obcemi urządzenia społeczne, które w Polsce i innych krajach dla pomyślności człowieka istniały już oddawna. Nie rozumieli oni jeszcze potrzeby pracy i żyli z dnia na dzień, jak zbóje, przeważnie z łupów zdobywanych na ludności sąsiedniego Mazowsza.

Właśnie zuchwalstwo dzikiego ludu do najwyższego dochodzić poczęło stopnia, kiedy Konrad zamiast na granicy czuwać z orężem, wypoczywał po łowach na skórach niedźwiedzich lub ucztował. Przy tak niedbałym i lekkomyślnym księciu zmarniałoby pewnie Mazowsze do szczętu, gdyby nie zabiegliwość i waleczność wojewody Krystyna.

Wedle zwyczajów rycerskich miał Krystyn wyrznięty na pieczęci znak rodowy, wyobrażający malowaną na kolor czerwony tarczę z bukiecikiem białych lilii w pośrodku, zwany Gozdawą. Wielu Gozdawów, to jest krewniaków, używających owego znaku, do wysokich doszło godności, a wszyscy dużego w narodzie doznawali szacunku. Książętom służyli wiernie, lecz nie płaszczyli się nigdy, umieli owszem w razie potrzeby wytknąć im zdrożność i śmiało powiedzieć prawdę.

Za takie przymioty Kazimierz Sprawiedliwy, jako pan mądry, Krystyna cenił i wyniósł; wojewoda znowu wielką dla księcia miał miłość, którą później przelał na synów jego: owego Konrada i starszego Leszka, zwanego Białym. Osieroconych młodzieńców zawsze z narażeniem osoby swojej gotów był bronić.

Ten to właśnie wsławiony wojewoda Krystyn Gozdawa, ratował Mazowsze wtenczas, kiedy wnętrze krainy trapiły rozboje i inne złych ludzi łotrowstwa, kiedy nieokrzesani Prusacy, korzystając z lekkomyślności Konrada, coraz częściej czynili napady i ze zdobyczą bezkarnie do leśnych wracali kryjówek. Krystyn łotrowstwom złodziejów i zbójów położył koniec, sądząc i karząc; Prusaków wielokroć pobił, łupy odebrał i do szanowania granic przymusił. Tak się Krystyn dał Prusakom we znaki, że drżeli na samo o nim wspomnienie. Myśleli, że nie człowiekiem, lecz był jakąś istotą wyższą. Nazywali go bogiem mazowieckim.

Odetchnęli Mazurowie pod mądremi rządami Krystyna i odzywali się głośno, że jemu by raczej, nie zaś Konradowi przystało być księciem. Lecz gdy zakwitła ku wojewodzie miłość wśród ludu, a ku młodemu księciu lekceważenie rosło i niechęć, — zazdrość ludzi nikczemnych przeciwko Krystynowi uknuła spisek i dzielnego męża zgubiła.

Był już Krystyn w wieku podeszłym, nie rokował sobie lat długich, więc nieraz zastanawiał się nad tem, co się po jego śmierci stanie z Mazowszem, nie znajdował godnego siebie następcy, w Konradzie żadnych nie widział zalet, słusznie przeto niepokoiła wojewodę przyszłość krainy, krewniaków i dzieci. Rozumiał, że młodego księcia możnaby jeszcze na lepszą naprowadzić drogę, więc, niby ojciec, jął się dawania mu mądrych wskazówek i przestróg. Zamykał się często z Konradem w izbie, wyrzucał płochość i do życia statecznego nakłaniał. Książę udawał pokorę i szczerą do poprawy ochotę; skoro mu jednak wojewoda znikł z oczu, po dawnemu swawolił, owszem, w coraz większe wpadał próżniactwo.

Zaniepokojony tem Krystyn, gdy się razu pewnego licznie panowie zjechali do Płocka na radę, wobec wszystkich zdrożności księcia, wytknął i strofował go ostro. Konrad zapałał gniewem i zemstą, a nienawiść ku wojewodzie umieli podniecić jeszcze dworacy, między którymi rej wodził wysoki urzędnik książęcy, przezwiskiem Czapla. On to Krystyna obmawiał, zazdrość w księciu budził, przypominając zdanie powszechne, że wojewodzie raczej, nie zaś Konradowi, przystało być panem korony. Złość srogą tak daleko w końcu posunął Czapla, że rozgłosił, niby rzecz pewną, jakoby wojewoda godził na życie Konrada, jakoby zostać chciał księciem. Konrad złośliwym plotkom uwierzył. Zemstą ku Krystynowi pałając, kazał go pojmać, wyłupić mu oczy, do lochu ciemnego rzucić, a potem zabić. Dzieci nieszczęśliwego wojewody kazał wyzuć z majątku i z Mazowsza wypędzić.

Płakał lud mazowiecki po dzielnym wojewodzie Krystynie, cieszyli się dzicy Prusacy, że będą mogli łupić Mazowsze bezkarnie. Jakoż, wypadłszy rychło z kryjówek, wioski palili, lud zabijali, rabowali dobytek. Gdy się zbliżali do Płocka, książę Konrad z żoną i dziećmi haniebnie uciekł i na drugim brzegu Wisły, to w Wiskitkach, to w małej naówczas wioszczynie, Warszawie, szukał schronienia. Zamiast walczyć, dawał Prusakom odzież i bydło, prosząc, iżby wracali do siebie; skoro podarków zabrakło, zapraszał Konrad panów mazowieckich na ucztę, szaty i konie zabierał im gwałtem i najezdnikom posyłał.

Zmiarkował książę, jakiej się zbrodni dopuścił, zabijając Krystyna; zrozumiał także, że tylko złość zazdrosnych stworzyła plotkę, jakoby wojewoda czyhał na życie jego i zamierzał zostać panem Mazowsza. Kazał owego Czaplę, jako głównego winowajcę śmierci Krystyna uwięzić, męczyć i w końcu zabić; lecz tym postępkiem nie uspokoił udręczeń sumienia, ani zabezpieczył krainy od wrogów. Często na długie godziny zamykał się w sobie i w rozpaczy się targał. We dnie i w nocy nie dawały księciu spokoju spełnione zbrodnie i niebezpieczeństwa, wciąż grożące od dzikich Prusaków.

Aż poradzono Konradowi, żeby ku obronie Mazowsza zaprosił rycerzy niemieckich. Jął się książę tej myśli i zakon niemiecki, krzyżackim zwany, który po wyniesieniu się z Ziemi Świętej, bezczynnie w Europie czas spędzał, sprowadził w roku 1227, wyznaczywszy im ziemie i zamki.

Osłaniali z początku Krzyżacy krainę od napaści Prusaków, lecz sami się później przeciwko swym do-

brodziejom zwrócili i stali się dla kraju plagą najgroźszą. Tak więc jedna zbrodnia Konrada pociągnęła za sobą na długie wieki nieszczęścia dla całego narodu.

O! módl się Polsko dziś ci jeszcze pora
Czerpać otuchę w modlitwie i pieniu.
Miłą jest niebu piersi twej pokora,
I ból w twem słowie i łza w twem spojrzeniu —
W cichości jeszcze Pan twych modłów słucha —
O! módl się Polsko i pokrzepiaj ducha.

Mieczysław Romanowski.

ZOHRA.

OPOWIADANIE Z ŻYCIA BEDUINÓW.

(Dokończenie.)

Z kamienistej drogi, pokrytej mnóstwem głazów, naniesionych tu jeszcze zapewne wodami potopu oraz z wysokich ścian wąwozu palonych od tysięcy lat afrykańskiem słońcem, wydobywał się straszliwy żar, napełniając piersi kłębami gorącego powietrza.

— „To Bab-el-szytan!” — zawołał tuż obok mnie jadący Ahmet, wskazując na dwie olbrzymie skały, których szczyty pochylone ku sobie tworzyły rodzaj przerwanej arkady ponad wąwozem. Błyszczące w nich kryształy kwarcu, odcijając jaskrawo promienie słońca, tworzą u wierzchu niby ognisty napis, który broni wstępu śmiertelnym.

Już dobrze po zachodzie słońca, gdy reszta karawany nadeszła, stanęliśmy wreszcie na nocleg. Dla Zohry i kobiet rozbito obszerny namiot a mężczyźni rozłożyli się wokół porozpalanych ognisk, przy których gotowano wieczerzę.

Znużony całogodzinną jazdą wśród straszliwego upału, rozesłałem po spożyciu lekkiego posiłku mój burnus na piasku i zapaliwszy cygaretę ułożyłem się do spoczynku. Noc była cicha i spokojna a brak księżyca dodawał jeszcze więcej blasku konstelacyom gwiazd, wyłaniających się z ciemnego błękitu nieba.

Zapatrzony w te miliony błyszczących się światów, rozmyślałem mimowoli nad poetycznem a tak trafnem porównaniem takowych z oczami pięknych kobiet; bo rzeczywiście, jak oczy owych nadobnych istot przybierają pod wpływem rozmaitych uczuć serca różne odbłyski i barwę, tak samo i gwiazdy, gdy się w nie uważnie wpatruje, zmieniają co chwila kolor światła.

Marząc tedy to o gwiazdach, to o oczach pięknych kobiet, które w mych myślach powoli w jedno zlewać się poczęły, przymknąłem powieki a dobroczynny geniusz snu przeniósł mię wkrótce w cichą krainę zapomnienia.

Szkodar



Port albański San Giovani di Medua



Obrazki z Bałkanu.

Po długich walkach, dzięki pomocy serbskiej, przez Czarnogórców (serbskich) zdobyta, pod naciskiem mocarstw przez nich jednak opuszczona Skodra (Skodar czyli Skutari) jest największem miastem Albanii, nowego księstwa na południe od Czarnogóry wzdłuż wybrzeża adryatyckiego aż do granic greckich się rozciągającego, którego władzcą będzie albo książę Wied albo książę Urach (Wyrtemberczyk). Czy Skodra będzie stolicą Albanii, dotąd nie wiadomo. Tymczasowy rząd albański znajduje się w Valonie.

Portem Skodry, położonej nad brzegami rzeki Bojany, jest San Giovanni di Medua, który wraz z Lesiem (Alesio) nad rzeką Driną przypadł Czarnogórze. Ta porozumie się z Serbią co do używania tego i innych portów czarnogórskich (Dulcigno i Bar czyli Antivari), gdyż najgorętsze życzenie Serbii — osiągnięcie portu — mimo zdobyczy ziemi (Wielkoserbii) się nie spełniło.

Nagle przeraźliwe krzyki i niezwykłe zamięszanie w biwaku wyrwały mię z głębokiego snu, w jakim byłem pogrążony. Zrywam się tedy czemprędzej i biegnę w stronę namiotu, skąd mię głośna wrzawa i płaczliwe zawodzenia kobiet dochodziły. Za mem przybyciem tamże zastałem wszystkich w największem poruszeniu, lecz napróżno zwracałem się do obecnych pytając, co się stało, za całą odpowiedź otrzymywałem jedynie wykrzyki: „Porwał ją, porwał ją!...” Widząc, iż tu się nic nie dowiem, spieszę do pobliskiej grupy mężczyzn, gdzie przy migającem świetle kagańca spostrzegłem Ahmeta, który z ponurą twarzą i zaciśniętemi usty przyglądał się konwulsyjnym drganiom swego ulubionego rumaka, tarzającego się we krwi, spływającej mu obficie z poderżniętego gardła.

— Zohrę mi porwał i konia mi zabił! — wyszeptał głucho — lecz na Ałłacha, nie ujdziesz mej zemsty, przeklęty Osmanie! Konia mi, prędzej! Może jeszcze czas — zawołał dzikim głosem.

W chwilę później był już na siodle i spiąwszy rumaka, któremu z pod kopyt snopy iskier się posypały, pomknął podobny wściekłemu huraganowi ku ciemnej szyi wąwozu.

Nie tracąc czasu dosiadłem i ja konia i opatrzywszy pistolety, puściłem się w ślad za nim w towarzystwie kilku innych Beduinów. Wiatr tamując mi oddech, świszczał w uszach a otaczające skały i góry podobne czarnym złowieszczym widmom przelatywały obok z przerażającą szybkością. Wreszcie po półgodzinnym szalonym biegu dopędziłem Ahmeta, który klęcząc na ziemi podtrzymywał w swych ramionach nieruchomą postać kobiety. Była to Zohra, w jej białych szatach, po których podobny purpurowemu wężowi spływał strumyk krwi, tworząc ciemną plamę na białym piasku pustyni. Bujny, kruczy włos rozwiany wiatrem okalał w dzikim nieładzie jej bladą twarz, spoczywającą na piersi Ahmeta.

— Ratuj ją, ocal, a więcej, niż życie będę ci winien! — zawołał rozpaczliwym głosem.

Przybliżywszy się, dotknąłem jej pulsu, który bił jeszcze słabo.

— Ona żyje! — wykrzyknąłem — lecz musimy ją spiesznie przenieść do biwaku — dodałem, usiłując zatamować krew, płynącą z rany, zadanej w lewą pierś dziewczęcia.

W tej chwili nadbiegli towarzyszący mi Beduini i z nimi Ali, brat Ahmeta. Natychmiast urządzono ze strzelb i burnusów rodzaj nosz, na które złożywszy Zohrę ruszyliśmy powoli ku obozowi. Wysławszy następnie jednego z Beduinów z rozkazem przygotowania w namiocie wygodnego łoża dla rannej, zwróciłem się do Ahmeta, który ze zwieszoną głową i osłupiałym wzrokiem tuż obok mnie postępował.

— Odwagi, mój bracie, miej nadzieję, jeszcze nie wszystko stracone — rzekłem, ściskając mu rękę.

— In sze Ałłach! In sze Ałłach![1] — powtarzał potrząsając smutnie głową.

W tym czasie pierś Zohry usiłując zachwycić oddechu podnosiła się spazmatycznie, a na jej bladych nawpółotwartych ustach pokazywała się co chwila krwawa piana niby wązki sznurek drobnych purpurowych pereł.

Zaniepokojony tym objawem i nie mając już prawie nadziei ocalenia nieszczęśliwej, przyspieszyłem pochód i o brzasku jutrzenki przybyliśmy wreszcie do biwaku.

Nakazawszy ciszę zawodzącym kobietom i wydaliwszy je z namiotu, zająłem się opatrzeniem rany i przyłożeniem kompresu. Usiłowania moje jednak były daremne, Zohra bowiem leżała wciąż nieruchomo z przymkniętemi oczyma i tylko silne charczenie w piersiach wskazywało na niewygasłe jeszcze życie. Nagle po kilku chwilach ciało jej drgnęło, krew z rany popłynęła obficie a przymknięte dotąd powieki rozwarły się szeroko.

Na widok Ahmeta, stojącego u łoża, przelotny uśmiech pokrył blade lica Zohry a w oczach jej zajaśniało tyle miłości, szczęścia i żalu zarazem, że mnie samemu łzy zaćmiły oczy, a Ahmet całując namiętnie rękę swej kochanki zaszlochał jak małe dzie

[1]) In sze Ałłach = jak Bóg zechce.

Obrazki z Bałkanu

K a w a l a, miasto portowe na południowym brzegu Bałkanu, w obwodzie soluńskim (Saloniki). Ludność (około trzy tysiące) trudni się handlem, mianowicie tytuniem, który z okolicy Dramy i Seresu tamdotąd dowożą. — Kavala wraz z przeciwległą wyspą Thasos przypadła Grekom w udziale. Ci, mając handel na morzu egejskiem w ręku, port ulepszą i wybudują kolej z Kavali do miasta Dramy, przez co Kavala będzie miała połączenie kolejowe z całym Bałkanem.



Port Kavala.

cię. Lecz był to ostatni już odblysk życia, bo z chwilą, gdy pierwszy promień wschodzącego słońca oświecił cudną twarz Zohry, anioł śmierci przelatujący ponad namiotem dotknął czarnem skrzydłem bladego czoła kochającej.

— Ahmet, Ahmet, mój kochanku! — zawołała z cicha.

Z temi słowy dusza jej uleciała w lepszą krainę...

Cisza śmierci zaległa wokół nas; Ahmet z suchą źrenicą i wyrazem straszliwej boleści w twarzy przyglądał się przez kilka chwil umarłej kochance, w końcu powstał, umoczył swój sztylet w jej ciepłej jeszcze krwi i wyszeptawszy „biada mu", opuścił namiot.

. . . .

Na drugi dzień po przeniesieniu zwłok nieszczęśliwej Zohry do kapliczki szeika, Ahmet zniknął z duaru i wraz z nim najlepszy koń ze stad szeika. Wszystkie poszukiwania były daremne, nigdzie go znaleść nie było można, ze śladów jedynie poznano, że udał się w pustynię na zachód, do oazy el-Saide.

Stary szeik Omar z tęsknoty za ukochanym synem zachorował ciężko i wkrótce później zakończył życie.

A Osman? zapytacie może. Osman od owej straszliwej nocy znikł bez wieści i nikt go więcej nie widział.

W kilka miesięcy po wyżej opisanych wypadkach podróżując po Nubii słyszałem od jednej karawany powracającej z Tunisu, że w pobliżu oazy el-Dachije znaleziono szkielet człowieka, broń i kości konia. Lecz czy to był szkielet Osmana lub też Ahmeta, o tem nigdy dowiedzieć się nie mogłem.

Oaza Fajum, w maju 1887 r.

Stefan Marusieński.

Praca jest twierdza, która nie dopuszcza,
By niecne sprawy i złych myśli tłuszcza
Mogły się wedrzeć do naszego łona,
Praca to ziemia jest błogosławiona,
Łaska ją Boża oświeca i zrasza,
I tylko na niej kwitnie cnota nasza.

Ks. Ignacy Hołowiński.

RAFAEL.

W Urbino, r. 1483, ujrzał światło dzienne najznakomitszy przedstawiciel malarstwa włoskiego Rafael Santi. Ojciec jego, Giovani Santi, zdolny malarz, sam był zapewne pierwszym nauczycielem syna, gdy zaś zmarł, zastąpił go Pietro Perugino Vanuzzi. Samodzielne prace Rafaela zaczynają się pojawiać około 1500 r., noszą one jednak cechę wpływu nauczyciela; są to utwory przeważnie treści religijnej, mające za temat Pismo Święte. W r. 1504 Rafael odbył podróż do Florencyi i w tym okresie talent jego skrystalizował się, zmężniał, wystrzelił całą mocą piękna.

W r. 1508 papież Juliusz II powołał Rafaela do Rzymu, polecając przyozdobienie sal Watykanu freskami. Malarz w szeregu obrazów miał przedstawić potęgę papieztwa, jako najwyższej władzy w zakresie spraw świeckich i duchownych. Malowidła dzielą się na cztery grupy; pierwsza przedstawia alegorycznie duchowe życie ludzkości, druga obrazy na tle biblijnem, świadczące o Bozkiem posłannictwie Kościoła, w trzeciej mistrz odwzorował historyę podniesienia władzy papiezkiej, a w czwartej utrwalenie świeckiej potęgi Kościoła od czasów Konstantyna. Wspaniałe te arcydzieła do dziś zachwyt cywilizowanego świata budzą.

Loże watykańskie to szereg arkad zbudowanych jako przedsionek prowadzący do sal; na sklepieniach ich mistrz z Urbino wymalował dwadzieścia cztery freski treści biblijnej; ściany boczne i filary ozdobione są malowidłami dekoracyjnemi, piękności niepo równanej; bogactwo fantazyi wręcz oślepia patrzącego, rozrzucone jest bowiem iście magnacką ręką.

Kartony do gobelinów, pokrywających ściany kaplicy Sykstyńskiej a przedstawiające sceny z pierwotnych dziejów Kościoła, stanowią trzecie monumentalne dzieło Rafaela. Tu styl mistrza szczytu doskonałości doszedł — piękność malowidła tylko naocznie można ocenić, bo piórem niepodobna dać o niej pojęcia.

Spuścizna po Rafaelu jest obfita; pozostawił on mnóstwo obrazów religijnych, do najcelniejszych należą: „Madonna" w Luwrze, „Rodzina Święta" w muzeum madryckiem, „Madonna Sykstyńska" w Dreznie, „Zdjęcie z Krzyża" w Madrycie, „Widzenie Ezechiela" we Florencyi, „Przemienienie Pańskie" w Watykanie. Utworu ostatniego mistrz wykończyć nie zdołał, pracę przerwała mu śmierć przedwczesna, która go w trzydziestym siódmym roku życia światu zabrała.

Bolesną tę dla sztuki chwilę odtworzył artysta spółczesny; na śmiertelnem łożu spoczywa mistrz, otaczają go koledzy, lekarz ostatnie uderzenia pulsu liczy, a papież Juliusz II z żalem żegna swego ulubieńca. Ojciec Święty znać przy umierającym Mszę Świętą odprawił, o czem pozwala się domyślać ołtarz z płonącemi świecami i aparaty kościelne. Jeden z obecnych odsłania niedokończone arcydzieło „Przemienienie Pańskie" a mistrz spogląda na dziecię swego natchnienia i talentu z głęboką troską, bo przeczuwa, że nikt nie ośmieli się uzupełnić go. Całość obrazu nacechowana jest spokojem i podniosłe wrażenie wywołuje. Mistrz nad mistrze odchodzi ze świata jak gorliwy katolik, ściskając w ostygającej doni, która tyloma wspaniałościami ludzkość obdarzyła, godło zbawienia — Krzyż.

O prace Rafaela dobijali się mocarze świata; August III, odbywając podróż po Włoszech, przybył do Piacency i w klasztorze św. Sykstusa znalazł Madonnę pędzla mistrza. Obraz go olśnił, postanowił więc arcydzieło nabyć za jakąbądź cenę. Jakoż w r. 1753 malarz Cesar Giovanini zdjął kopią Madonny dla klasztoru a oryginał, kupiony za 20 000 dukatów, wysłano do Drezna. Uradowany August kazał go rozpakować i wstawić do sali tronowej; okazało się, że chcąc obraz w dobrem umieścić świetle, trzeba tron usunąć. Wtedy August, widząc zakłopotanie służby, własnoręcznie odepchnął tron i rzekł: „Miejsce dla wielkiego Rafaela!"

Był to okrzyk prawdziwie królewski.

A choć nam tutaj ciężko, — źle,
Człek tylko wzdycha lub się smuci,
Nadziei przecież nie trać, — nie!...
Po każdej zimie wiosna wróci.
Powróci wiosna, z nią szczęście, blaski, ziele,
Uśpioną ziemię obudzi wesele.

Grylewianka.